Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

W NUMERZE

R. GERBER — „Proletariat" w sprawie chłopskiej
M. THOREZ — Front ludowy
A. VENCLOVA i M. TANK — Wiersze
M. JANION — Boy o Mickiewiczu J. JELONEK—Moje życie J. POGAN—Sylwetki
M. ŻMIGRODZKA — Mickiewiczologia i przyczynki M. GAŁAJ—Na wspólnej łące

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII | Warszawa, dn. 12 lutego 1950 r. | Nr 6 (237)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CW 9037

EDMUND NIZIURSKI

SYN LUDU*)

I.

WE Francji o francuskich przywódcach socjalistycznych mówi się: „niczego się nie nauczyli a wszystko zapomnieli". Ci „zapominalscy" ludzie rządzą dziś Francją, według przedwojennych przepisów. Toczą wojnę kolonialną (tym razem w Vietnamie), stosują nadal politykę nienawiści i oszczerstw w stosunku do Związku Radzieckiego i Polski Ludowej, wyprzedają Francję kapitałowi zagranicznemu (stały klient Wuj Sam) i paktują z reakcyjnym rządem niemieckim (Heil Adenauer!). Zapominalscy zapomnieli jednak i o tym także, że tak jak świat dzisiejszy nie jest światem sprzed dwudziestu lat tak i Francja dzisiejsza nie jest dawną Francją. Nie tylko dlatego, że nie jest to już Francja niezależna, lecz ujarzmiona kolonia obcego imperializmu ale i dlatego, że nie mają więcej do czynienia z biernym i bezbronnym ludem francuskim. W ciągu lat międzywojennych i w czasie ostatniej wojny pracujące masy Francji zorganizowały się, skupiły i wychowały. Polityka reakcyjnego rządu nigdy jeszcze nie była tak obca i wstrętna ludowi francuskiemu jak dziś. Trzydziestoletnia, wytrwała walka Komunistycznej Partii Francji wydała owoce.

Przebieg tej walki stanowi treść jednej z najpopularniejszych we Francji książek „Fils du Peuple" Maurice Thoreza.

„Fils du Peuple" jest biografią polityczną równie daleką od wzorów Plutarcha, jak od typu biografii mieszczańskiej. Wyróżnia ją rola, jaką w niej spełnia bohater — autor. Juliusz Cezar choć opisywał swoje czyny w trzeciej osobie (nie robił tego zresztą przez skromność), potrafił uczynić ze swojego „ja" punkt centralny i sprężynę historii. „Fils du Peuple" jest autobiografią nowego typu — autobiografią socjalistyczną.

Thorez — wychodzi z założenia: pisanie o sobie ma tylko wtedy sens, o ile nasze prywatne życie w jakimś dostatecznie dużym stopniu odzwierciadla życie społeczeństwa w jego rozwoju — o ile na kanwie własnego życia potrafimy pokazać sprawy bardziej ogólne, społeczne.

Co więcej, w książce Thoreza w miarę jego angażowania się w ruchu robotniczym obserwujemy stopniowe zanikanie żywiołu osobistego w potocznym, lub ściślej, mieszczańskim tego słowa znaczeniu — żywiołu egotycznego. O ile w dwu pierwszych rozdziałach czytelnik dowiaduje się stosunkowo dokładnie, gdzie Thorez się obracał, jak spędzał czas, co czytał — w dalszych rozdziałach biografia staje się monografią francuskiej klasy robotniczej a zwłaszcza KPF.

Biografia Thoreza jako biografia polityczna ma szczególne powody do takiego ustawienia sprawy. Nie mniej, wydaje się jednak, że ujęcie Thoreza jest i z punktu bardziej ogólnego słuszne. Ma swój głębszy sens i rację. Jeśli bowiem o wartości naszego życia decyduje nasza praca i dzieło, najlepszą metodą autobiograficzną będzie pokazanie tej pracy i tego dzieła. One mówią za nas najsprawiedliwiej, najciekawiej i najbardziej rzeczowo.

II.

Urodzony w 1900 roku Thorez należał do tego pokolenia francuskiego proletariatu, które dojrzewało w ogniu pierwszej wojny światowej, którego wejściu w życie towarzyszyły odgłosy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i odrodzenie ruchu robotniczego w szeregach III Międzynarodówki. Ciekawa i prosta zarazem jest droga Thoreza z smutnego osiedla górniczego w Północnym Zagłębiu — do pozycji przywódcy pracujących mas Francji. Awans polityczny syna ludu — Thoreza to zarazem symbol awansu politycznego najszerszych mas pracujących Francji, jaki przyniosła Partia Komunistyczna.

Życie proletariatu było mu bliskie, gdyż było to jego własne życie. Wspomnienia z lat dziecięcych to wspomnienia katastrof górniczych (z których pamiętna jest zwłaszcza ta w 1906 r., gdy w kopalni Courrieres zginęło 1300 ludzi), bezrobocia i głodu, strajków, manifestacji i represji policyjnych.

Edukację społeczną przechodzi Thorez na najcięższych — w warunkach kapitalizmu — pozycjach klasy pracującej — w górnictwie.

Zachodziło wtedy wiele zjawisk, których młody chłopiec nie rozumiał: między innymi dlaczego górnicy, mając wspólnego wroga, kapitalistę, biją się między sobą, dlaczego dwa związki zawodowe tracą siły na wzajemne zwalczanie się.

W czasie rozruchów „głodowych" przeciwko drożyźnie Thorez, jako mały urwis wraz z innymi chłopakami brał udział w niszczeniu straganów.

W tej „zabawie" dorośli nie byli mądrzejsi od dzieci. Pozbawieni rewolucyjnej nauki nie wiedzieli, gdzie szukać prawdziwego wroga. Swój gniew wyładowywali na przekupniach marchwi.

„Nie mogliśmy jeszcze zrozumieć wtedy — pisze Thorez, że odpowiedzialnymi za zwyżkę kosztów utrzymania byli wielcy kapitaliści, spekulanci, którym jeszcze raz udało się zwrócić gniew spożywców na drobnych handlarzy, sklepikarzy, lub cudzoziemców".

Przykład tych spontanicznych, żywiołowych odruchów zrozpaczonych mas, na ślepo wymierzających ciosy w głębokiej niewiedzy istotnych przyczyn zła i właściwego oblicza wroga — doskonale unaocznia znaczenie naukowej teorii marksizmu-leninizmu dla organizowania i rozbudzania świadomości mas.

Pokazuje też, jakie niebezpieczeństwa zagrażałyby ruchowi robotniczemu bez drogowskazu Rewolucji Październikowej.

Wojna światowa była nowym etapem w rozwoju świadomości klasowej Thoreza. Była ona również nowym etapem w rozwoju ruchu robotniczego we Francji. Przeżycia i doświadczenia młodego górnika Thoreza z tego okresu to zarazem przeżycia i doświadczenia całego proletariatu francuskiego. Thorez był przecież jego typowym przedstawicielem. Uchodząc wraz z dziadkiem z zagrożonego przez Niemców zagłębia Nord, Thorez zostaje ewakuowany do departamentu de la Creuse, do wsi Clugnat. Pracując jako parobek, zapoznaje się Thorez z życiem i pracą chłopów i dochodzi do wniosku, że — „chłop jest bratem robotnika, bratem nieszczęśliwym jak on, wyzyskiwanym i gnębionym jak on i jak on jest ofiarą przeznaczoną na wielką masakrę wojenną".

Lecz la Creuse była nieurodzajna. Czy głównym powodem nędzy chłopa jest jakość gleby? Problem ten wkrótce rozwiązał sam Thorez podczas pobytu w żyznej i urodzanej Pikardii. Okazało się, że tę bogatą ziemię zamieszkują ubodzy ludzie; wszędzie bowiem panoszył się ten sam wyzysk człowieka przez człowieka.

W departamencie de la Creuse po raz pierwszy spotyka się Thorez z ruchem socjalistycznym wśród chłopów. Nosicielami idei socjalistycznych na wieś byli najbiedniejsi chłopi, którzy nie mogąc wyżyć ze swego kawałka ziemi wędrowali co rok na kilka miesięcy do Paryża, gdzie pracowali jako murarze i gdzie zapoznawali się z ruchem robotniczym. Od takiego starego murarza odbiera Thorez pierwszą naukę o proletariackim stosunku do wojny. Dowiaduje się o konferencji w Zimmerwaldzie i Sztokholmie i znajduje sformułowanie i rozwiązanie zagadnień, które go dręczyły: „w toczącej się wojnie imperialistycznej nie chodzi wcale o obronę ojczyzny, lecz o kłótnie między rozbójnikami kapitalistycznymi, którzy chcą powiększyć swe terytoria wzajemnym kosztem, którzy kłócą się o podział kolonii".

Na własnym przykładzie pokazuje Thorez jak dużo może bystry obserwator nauczyć się od życia w każdych warunkach w jakich go los postawi. Książka pokazuje jednak zarazem, jak ciężko byłoby młodemu człowiekowi wyciągnąć właściwe i słuszne klasowo wnioski bez pomocy marksizmu-leninizmu.

W tym czasie dochodzi do Thoreza wieść o wybuchu Rewolucji Październikowej. Thorez przyjmuje ją z [illegible] jednocześnie szuka kogoś, ktoby go mógł pouczyć o istocie i znaczeniu tego, co stało się w Rosji. Nie była to łatwa sprawa. Dzienniki i broszury reakcyjne prześcigały się w kampanii oszczerstw i kłamstw, miotanych na rewolucję.

W pobliskim Amiens istniała co prawda grupa „dość wpływowych anarchistów, ta jednak nie rozumiała nic z rewolucji rosyjskiej".

Rewolucja Październikowa i odrodzenie ruchu robotniczego w szeregach Komunistycznej Międzynarodówki to punkty zwrotne w życiu młodego Thoreza. W rok założenia III Międzynarodówki Thorez wstępuje do Partii. Partia socjalistyczna znajdowała się wtedy w ogniu dyskusji i walk o ustosunkowanie się do III Międzynarodówki. Thorez stanął z miejsca po stronie zwolenników Lenina.

III.

Analizując drogę, jaką przebyła KPF w ciągu trzydziestu lat swego istnienia z łatwością można wyśledzić, że towarzyszyły jej nieodłącznie walka o jedność klasy robotniczej i walka o pokój.

Polska klasa robotnicza potrafi już dziś w pełni ocenić dobrodziejstwo jedności ruchu robotniczego, bez której marsz do socjalizmu staje się niemożliwy. Wiemy również, że zjednoczenie organiczne dokonało się poprzez jedność działania i walkę ze wszelkimi przejawami oportunizmu i reformizmu. Dlatego walka KPF od zarania jej istnienia o jedność proletariacką jest zrozumiała. KPF nieraz wyciągała rękę do partii socjalistycznej z propozycją wspólnej akcji, wychodząc z założenia, że jedność działania jest niezbędnym etapem na drodze do jedności organicznej. Z tej też koncepcji zrodziła się idea francuskiego Frontu Ludowego. Dzisiaj z perspektywy lat walka o Front Ludowy i historia tego frontu stanowi jedno z najbardziej ciekawych i pouczających doświadczeń ruchu robotniczego.

Thorez przytacza fakt, świadczący o niesłychanie wrogim nastawieniu przywódców socjalistycznych do propozycji jedności nawet w tak „niewinnej" dziedzinie jak walka o pokój. Kiedy w 1932 r. miał się odbyć zorganizowany przez działaczy komunistycznych (między innymi przez Henri Barbusse'a i Romain Rollanda), Kongres Pokoju w Amsterdamie, przywódcy socjalistyczni zabronili swym działaczom wzięcia w nim udziału pod rygorem wykluczenia z partii.

Front Ludowy dzięki wysiłkom komunistów udało się zmontować dopiero w 1936 roku, dosłownie w ostatniej chwili, kiedy w miastach francuskich grasowały już zbrojne bandy faszystowskie, z osławionymi Croix de feu, na czele i kiedy wyniszczonym długotrwałym kryzysem robotnikom burżuazja zacisnęła pętlę niespotykanego dotąd wyzysku.

Stała się wtedy rzecz znamienna. Socjaliści, którzy, jak długo to było możliwe bez narażania własnej skóry — wykręcali się od sojuszu z komunistami, gdy sojusz stał się nieunikniony — nagle i nieoczekiwanie zaproponowali jedność organiczną! (sic!)

Komuniści odmówili, obstając przy jedności działania. Gra bonzów socjalistycznych była dla nich jasna. Inspirowani jak zwykle przez wroga klasowego usiłowali nawet ten moment wykorzystać bezpośrednio dla swoich wąskich celów partyjnych (a w istocie antyrobotniczych, dywersyjnych). Chodziło o to by, rozbić od wewnątrz ruch komunistyczny. By umożliwić przedostanie się do zjednoczonej partii — elementom oportunistycznym lub zgoła reakcyjnym i wchłonąć politycznie komunistów. Taktyka była ta sama co i polskich ugrupowań oportunistycznych w okresie przed zjednoczeniem partii robotniczych. Połączyć się nie na rewolucyjnej leninowskiej platformie, lecz mechanicznie, za cenę zejścia z rewolucyjnej drogi marksizmu-leninizmu.

Front Ludowy postawił program umiarkowany, który nie wychodził poza ramy parlamentarne, ani poza cele, które formalnie tkwiły nawet w ideologii radykałów. Mimo zwycięstwa wyborczego, ten umiarkowany program w większej części pozostał martwy.

Zastanawiając się nad przyczynami niewykonania programu Thorez dochodzi do wniosku, że stało się to na skutek stanowiska partnerów Frontu Ludowego, przywódców socjalistów i radykałów. Panowie ci od samego początku mimo obłudnych zapewnień uważali Front Ludowy za rodzaj tricku wyborczego. Z chwilą, gdy wybory przyniosły im potrzebne mandaty zaczęli robić wszystko, by nie dopuścić do zrealizowania programu, który w ich zamierzeniach był tylko przynętą dla mas.

Metody tej [illegible] znamienne i zasługują na uwagę. W pierwszym rzędzie zdrajcy ludu starali się za wszelką cenę nie dopuścić do aktywnego udziału we froncie ludowym mas pracujących. Starali się nadać mu charakter wyborczego zbliżenia „wierzchołków" partyjnych, które później jeszcze więcej oddalają się od siebie, jak nagięte ku sobie na moment a potem puszczone wolno szczyty drzew. Blum i całe dobrane towarzystwo socjalistów i radykałów lękało się panicznie mas. Lękało się najmniejszego udziału mas w aktywnym ruchu. Przed wyborami — opowiada Thorez — mieli pretensje do Partii Komunistycznej, że niezależnie od układów z przywódcami partyjnymi, zwraca się ona z wezwaniem jedności bezpośrednio do szeregowego członka ich partii. Po wyborach wystąpili stanowczo przeciw organizowaniu w fabrykach i wsiach komitetów Frontu Ludowego. Za ich sprawą nie doszło także do zwołania Kongresu Narodowego Frontu Ludowego, w którym mieli wziąć udział delegaci wybrani przez masy. W ten sposób Front Ludowy pozbawiony został społecznego, ludowego, międzypartyjnego organu, któryby kontrolował wprowadzanie programu w życie.

Były i inne przyczyny przeszkód na drodze realizacji programu. Zwycięstwo Frontu Ludowego nie zmieniło samo przez się typowo kapitalistycznej struktury kraju. Gospodarką Francji trzęsło nadal „200 rodzin" kontrolujących całkowicie 200 największych spółek akcyjnych w podstawowych gałęziach gospodarki narodowej. Ta potęga trzymała w szachu rząd składający się z socjalistów i radykałów, którzy od dawna uprawiali politykę wrastania w kapitalizm oczywiście przez kieszenie kapitalistów.

Front Ludowy i jego dzieje okazuje dostatecznie wyraźnie, jak trudno w warunkach kapitalistycznej republiki nawet uzyskawszy zwycięstwo wyborcze zrealizować choćby najskromniejszy program reform społecznych i gospodarczych na drodze parlamentarnej.

Zdrada Frontu Ludowego przez przywódców socjalistycznych i radyną, ponieważ mówiła prawdę o sytuacji i wskazywała na środki wyjścia — ponieważ ona jedna tylko zdolna była realnie przeciwstawić się agresji.

IV.

Walka o pokój przewija się przez całą drogę Partii Komunistycznej jako konsekwentnie przeprowadzony punkt programu. Tak jak dziś partia ta występuje przeciwko wojnie w Vietnamie i przeciw agresywnym paktom inspirowanym przez USA, tak od zarania swojego istnienia występowała ostro przeciwko białej interwencji w Związku Radzieckim, przeciwko wojnie w Maroku. Walka o pokój była naczelnym założeniem Frontu Ludowego... Lecz właśnie dlatego, że komuniści naprawdę chcą pokoju, muszą wypowiedzieć z całą stanowczością wojnę wojnie i to ich różni od pacyfistycznych frazeologów. Dlatego sprzeciwiali się zbrodni nieinterwencji w Hiszpanii i polityce monachijskiej handlowania wolnością narodów. W czasie ostatniej wojny komuniści francuscy organizują jedyny, rzeczywisty ruch podziemny we Francji: Francs Tireurs i Partisans.

Stała się rzecz pozornie paradoksalna. Ci, których odsądzano od patriotyzmu, ci którzy występowali przeciwko wojnie, podczas okupacji wykazali najwięcej hartu ducha i największą miłość ojczyzny, byli najdzielniejszymi żołnierzami — oni ocalili honor Francji. Bowiem ich walka o pokój nie miała nic z bezdusznego doktrynerstwa. Potrafili przeprowadzić ścisłą granicę między pojęciem wojny imperialistycznej i wojny wyzwoleńczej.

Zdumiewający jest stały rozkwit KPF, która w ciągu krótkiego okresu istnienia, stała się rzeczywiście awangardą klasy robotniczej i naj-

(dokończenie na str. 2)

*) Maurice Thorez Fils du Peuple, Editions Sociales, Paris 1949.

Cztery pokolenia bojowników. Camélinat, Cachin, Vaillant-Couturier i Thorez.

JERZY LOVELL

Śpiew nad Marsylią

I. WIECZÓR W MARSYLII

Melodie ciche, fale śpiewu,
omdlały wieczór w oknach domów —
przejdź tędy, Mario, po kryjomu,
omiń ten wieczór, omiń niewód
melodii cichych, fali śpiewu —
przejdź tędy, Mario, po kryjomu.

— Towarzysz Thorez rzekł: iść trzeba
przeciw rozpaczy, przeciw wojnie;
po dzień spokojny, po kęs chleba
słodki jak wieczór, jak śpiew wolny.

Nie masz wolnego śpiewu, Mario,
w Francji słonecznej, w domu twoim —

II. DEMONSTRACJA

Czerwony sztandar. Niebo w ogniach.
I cisza twarda, cisza ciężka.
W wieczornym cieniu krętych ulic
bunt stu tysięcy mieszka.

Słowo „pokój" głośniejsze od salw,
słowo „chleb" groźniejsze niż czołgi —
niech pęknie cisza siejbą słów,
niech sztandar tryśnie ogniem!

Jesteś na czele braci gniewnych,
Mario o palcach skłutych igłą —
za tobą Francja wezbrana gniewem,
za tobą Francja wezbrana siłą!

Fabryki mówią — mówisz ty,
roboczą wolę wieści gołąb.
Ponad Marsylią białym skrzydłem
wyrasta śpiew,
wyrasta wolność.

III. EPILOG

Ręce twarde, ręce mocne,
ręce sprawne, prędkie i celne —
z was rosną miasta, armie i kłosy,
z was wschodzi siła — pokój wzejdzie.

Ręce twarde, ręce robocze,
ręce na kołach maszyn i dźwigniach —
z was wzejdzie słońce dni coraz bliższych:
socjalistyczna ojczyzna.

JEAN DAUTRY

Tłum. Jan Guranowski

BURŻUAZJA A POWSTANIE CZERWCOWE *)

W lutym 1848 r. burżuazja francuska obaliła tron orleański— ustanawiając republikę parlamentarną. Rewolucji nie dokonała jednak własnymi rękami. Zamiast niej walczył lud paryski. Ale niemalże nazajutrz po rewolucji stało się oczywiste, że lud paryski nie zadowoli się burżuazyjną republiką. Wysunął hasło zapewnienia robotnikom pracy. Rozlegają się nawet głosy, domagające się republiki socjalnej. Ale burżuazja nie zamierza przekroczyć granicy republiki parlamentarnej. Utworzono natomiast warsztaty narodowe, które, według intencji burżuazji, służyły sprawie rozbicia i rozczłonkowania proletariatu. Na ulicach ustawiano drzewa wolności, wokół których bawił się co prawda również lud — które jednak nie znamionowały wolności ludu. Nikt jednak z burżuazyjnych ministrów nie zamierzał wypełnić postulatów proletariatu.

A położenie robotników pogarszało się bezustannie. W czerwcu tegoż roku głód rzucił robotników na barykady. Burżuazja ze strachu i nienawiści — starała się zbezcześcić i oszkalować wielki i pierwszy w historii, samodzielny zbrojny poryw proletariatu. I odtąd historiografia burżuazyjna zużyła niemało atramentu i obłudy, by oczernić paryskie powstanie czerwcowe.

Ciekawa książka Jeana Dautry'ego „Histoire de la revolution de 1848 en France" (Historia rewolucji 1848 r. we Francji) jest wiernym i głębokim obrazem Wiosny Ludów we Francji. Rozdział, który z tej książki poniżej zamieszczamy, mówi o wielkim bohaterstwie robotników, którzy po raz pierwszy podnieśli broń przeciw burżuazji. Jest to rozdział tym ciekawszy, że poparty materiałami wywodzącymi się ze środowiska burżuazyjnego.

REDAKCJA

„Robotnicy mieli do wyboru — pisze Karol Marks w swych „Walkach klasowych we Francji" — albo umrzeć z głodu albo przejść do ataku. Była to walka o zachowanie lub zniszczenie burżuazyjnego ładu. Zasłona, która spowijała Republikę została rozdarta". 23 czerwca rano, w 4 miesiące po idyllicznej rewolucji Lutowej robotnicy chwytają za broń. Tym razem są prawie zupełnie osamotnieni. Sojusznicy z Lutego drobnomieszczanie, jeśli nawet w cichości ducha sympatyzują z powstaniem siedzą przezornie w domu. Wielu spośród nich staje po stronie Zgromadzenia. Słuchacze **Ecole Normale Superieure** o poglądach postępowo republikańskich, pod wodzą swego dyrektora zaofiarowują swe usługi ministrowi wojny Arago.

Jeden z bohaterów „Wychowania Sentymentalnego" Dussardier, zdecydowany republikanin, ranny podczas ataku na barykadę przy ulicy Lafayette, zadaje sobie pytanie czy dobrze uczynił stając po stronie partii porządku. „Być może — pisze Flaubert — powinien był on znaleźć się po drugiej stronie, w jednym szeregu z bluzami, gdyż prawnie mówiąc obiecywano im wiele, niczego zaś nie dotrzymano. Ich zwycięzcy nienawidzili Republiki, i okazali się niezwykle okrutni wobec zwyciężonych. Nie mieli zapewne racji a przynajmniej mieli ją nie zupełnie; i dzielnego chłopca prześladuje myśl że, być może walczył przeciwko sprawiedliwości.

Nie przeszkodziło mu to jednak wystąpić przeciwko obrońcom barykad.

Na ulicę wyszedł sam proletariat. Po jego stronie występują jedynie bardzo nieliczni członkowie klubów pochodzący z mieszczaństwa jak np. porucznik marynarki Deflotte, porucznik marynarki Fryderyk Cournet, dziennikarz Beniamin Laroque, czy kapitan gwardii narodowej Legenissel, którzy się zachowują jak „Jakobini związani ściśle z klasą robotniczą" (jak mówi Lenin).

Ale jeśli proletariat jest osamotniony, to przynajmniej wszystkie jego siły żywotne ze wschodniej części Paryża stają do walki ramię w ramię z robotnikami warsztatów narodowych. Na przedmieściu Saint-Antoine znajduje się Marche. Człowiek, który poświęcił trzy miesiące nędzy robotniczej służbie dla Republiki nie wykręca się od odpowiedzialności. Razem z nim jest tu również Lacollonque, naczelny redaktor **L'organisation du Travail.** Starzy robotnicy, którzy od 1830 r. chwytali za karabin zawsze gdy toczyła się walka o wolność ludu i dziś są obecni na barykadach. Między innymi jest tu przeszło sześćdziesięcioletni szewc Voisembert. Stawili się również i bardzo młodzi robotnicy, zaledwie wchodzący w życie polityczne, jak np. mechanik Barthélemy. Nie brak nawet kobiet starych i młodych, jak np. 76-letnia wdowa Henri z Belleville. Nieznani aktywiści z tajnych stowarzyszeń komunistycznych wychodzą na ulicę. Podobnie i dawni Górale Caussidère'a.

„Wiadomo — pisze Marks — jak robotnicy z bezprzykładnym męstwem i genialnością, bez wodzów, bez wspólnego planu działania, bez środków, przeważnie bez broni... trzymali w szachu wojsko, Garde Mobile, paryską gwardię narodową i gwardzistów narodowych przybyłych z prowincji". [1])

*

Obczującym w Paryżu oddziałom gwardii narodowej z prowincji rzuca się w oczy po 26 czerwca zawzięta wrogość pozostałych na wolności robotników. Podobnie jak i o komunie w 1871 r. można z całą słusznością powiedzieć o powstaniu czerwcowym, że choć zdławione nie uważa się za pokonane a nadzieja odwetu nie ginie.

W dzielnicach powstańczych zdobyto 100.000 karabinów. W czasie powstania i bezpośrednio po powstaniu zatrzymano około 25.000 osób z nich 11.067 po samowolnej selekcji uwięziono. Ilość rozstrzelanych bez sądu przekroczyła 1.500. Ilu było rannych i zabitych w czasie walk niesposób już dziś ustalić. Z braku opieki lekarskiej zmarło wielu powstańców ukrywających się u swych towarzyszy, nie zostali oni ujawnieni jako kombatanci.

Liczne ruiny w Paryżu były świadectwem nasilenia walk. 27-go i w dni następne burżuazja wyszła na miasto po nowiny. Gdy już dowiedziano się co się stało z przyjaciółmi, zaczęto oglądać drobiazgowo zniszczenia dokonane w nieruchomościach i sklepach. Ale ponure miny kobiet z przedmieść skłoniły burżuazję do szybkiego powrotu do swych pięknych siedzib.

Jeśli nawet czyni się powstańców z okolic placu Italie odpowiedzialnymi za egzekucję generała de Bréa, jeśli nawet naszym współczesnym konserwatywnym publicystom nie daje się uzasadnione przedstawienie całej tej sprawy jako uplanowanej na zimno zasadzki — to przynajmniej nie pozwalają już sobie szkalować ogółu robotników paryskich, jak to czynili ich przodkowie w 1848 r. Burżuazja, nawet ta szczera republikańska, rozpowszechnia w czasie powstania oszczerstwa o nieprawdopodobnym jakoby barbarzyństwie powstańców. W jej wersji całe powstanie jest jednym wielkim gwałtem i okrucieństwem. Wierni partii porządku gwardziści narodowi i żołnierze mieli być jakoby cięci piłą lub przypiekani na wolnym ogniu.

Rojalistyczne pisma z **Constitutionelem** Thiersa na czele, widziały w pierwszych szeregach powstania 22.000 zbiegłych galerników. Posługiwano się — pisała **La Patrie** — ogniem, trucizną, sztyletem i witriolejem, wykazując przy tym pomysłowość godną Nerona i szatańską mądrość". Tak zwani naoczni świadkowie opowiadali jeszcze więcej: o przekupionych markietankach, które sprzedawały żołnierzom porządku zatrutą wódkę, o sprzedawcach tytoniu, którzy im podsuwali zatrute cygara, o czaszkach żołnierzy zamienionych w garnki, o żywych pochodniach itp.

Nic z tego wszystkiego nie ostało się w świetle dochodzeń policyjnych i rozpraw sądowych. Ernest Renan oddaje prawdziwy stan rzeczy w liście do swej siostry Henryki: „Widziałem z bliska powstańców byliśmy w ich ręku przez jeden dzień i jedną noc, i mogę powiedzieć, że trudno byłoby od nich żądać więcej względów uczciwości i prawości. że swym umiarkowaniem przewyższali bez porównania tych, którzy z nimi walczyli. **Akty bezprawia były prawie wyłącznie dziełem obrońców porządku".**

W końcu 1848 r. dziennikarz Ludwik Ménard opisał w dzienniku Proudhona dokonane w czasie powstania akty okrucieństwa i ujawnił ich sprawców. Nikt nie był w stanie mu zaprzeczyć. Oto kilka wyjątków z tych artykułów, świadczących o humanitaryźmie powstańców i o barbarzyństwie ludzi porządku: „W czasie zajmowania placu Vosges przez lud — wojsko składało broń; żołnierze byli traktowani bardziej jak bracia, niż jako jeńcy. wszyscy którzy prosili o zwrócenie im wolności byli z miejsca zwalniani. Gdy plac został spowrotem odebrany, żołnierze którzy poddali się powstańcom zostali rozstrzelani, inni zdegradowani i postawieni przed trybunały wojenne a wszystko to spotkało ich za czyn, który w Lutym przynosił jednemu z pułków liniowych zaszczytne miano pierwszego pułku Republiki..

Pod barykadą na ulicy D'Angoulême toczyła się przez parę dni walka; zmieniano ciągle walczące tam bataliony w obawie zniechęcenia wśród żołnierzy. Na barykadę i sąsiednie domy padło 39 pocisków armatnich. Dragoni weszli na śluzę, która w tym miejscu przecina kanał Saint-Martin. Wówczas robotnicy wprawili w ruch mechanizm i dragoni wpadli do kanału; natychmiast robotnicy rzucają się do wody, by ich ratować. Otoczono dragonów troskliwą opieką, dano im nierozcieńczone wino do picia, podczas, gdy dowódca barykady zabraniał używać go swoim ludziom. Wypuszczono ich na wolność. Taki był początek historii o straszliwie pokaleczonych dragonach, którą następnego dnia kolportowała prasa rojalistyczna. Jako przeciwieństwo tego możemy przytoczyć postępowanie mobilów, którzy wrzucili swych jeńców ze związanymi rękami i nogami do kanału Temple. Dopiero gdy przybywa wojsko liniowe, każe zaprzestać topienia ludzi...

Głównym miejscem straceń był przez cały czas Rotusz. Gdy gwardia narodowa lub mobile prowadzili jeńców schodami, które znajdują się na końcu ulicy Lobau wołano do nich z dołu: „nie mamy już miejsca, dodajcie im ducha" Więźniów spychano wówczas ze schodów w dół w krwawe grzęzawisko i tam dopiero padali pod kulami. Od czasu do czasu zabierano zwłoki i przenoszono je na salę Saint-Jean; po chodnikach płynęła szerokimi strugami krew".

Można bez wahania obciążyć mobilów odpowiedzialnością za większość popełnionych przez wojska porządku zbrodni Nawet tak reakcyjny dziennikarz jak Piotr de la Gorce przyznaje wstydliwie: „U boku armii regularnej gwardia mobilów, której zrazu niedowierzano. przeszła wszystkie pokładane w niej nadzieje. Gdyby wojna domowa nie była rzeczą tak okropną, byłoby przyjemnie zobaczyć tych młodych ludzi oblegających domy i wdrapujących się aż na dachy, by zapanować nad ogniem przeciwnika, lub rzucających się na barykady by z pobladłą z wrażenia lub od upływu krwi twarzą przynieść mężnie zdobyte sztandary. Można było jedynie zarzucić tym młodym żołnierzom, że wnieśli do walki zajadłość graniczącą z okrucieństwem".

Mobile rekrutowali się bądź spośród mętów ulicznych nie posiadających ani rodzin, ani stałego miejsca zamieszkania, którzy w służbie wojskowej widzieli jedyną możliwość istnienia, bądź spośród synów robotniczych będących pod wpływem kleru. ich ojcowie wyzwoleni spod wpływu katolicyzmu, jeśli nie w ogóle chrześcijaństwa, znajdowali się niekiedy w szeregach powstańczych. Karol Marks i Fryderyk Engels nie mylili się uważając gwardię mobilów za polityczny wyraz proletariatu bez żadnego określonego zawodu, niepracującego i w łachmanach — lumpenproletariatu. „Ten zorganizowany lumpenproletariat — pisał w Nowej Gazecie Reńskiej z dn. 29 czerwca Fryderyk Engels — stanął do walki przeciw nieźle ganizowanemu proletariatowi robotniczemu. Jak należało się spodziewać poszedł na służbę burżuazji, podobnie jak lazaroni neapolitańscy".

Zawziętość, z jaką walczyli robotnicy, nie była rezultatem intryg pretendenta do tronu, ani poszeptów zagranicy, jak sądzili, być może szczerze, drobnomieszczański republikanie w stylu Flocona. Robotnicy chcieli po prostu zapewnić chleb swym żonom i dzieciom. Coraz bardziej powszechna nędza całego proletariatu paryskiego, nędza bez wyjścia zmusiła go do śmiertelnej walki, a nawet do narażenia na śmierć kobiet i dzieci. Ileż nieświadomości tkwi w twierdzeniu pana de la Gorce, iż powstanie, „było gwałtownym wybuchem wybujałych i niezaspokojonych pożądań". Panu de la Gorce jak ministrowi Arago brak doświadczenia głodu. Zawziętość burżuazji, która zatriumfowała dzięki dwukrotnej przewadze sił miała swoje źródło w jej rosnącym zrozumieniu, że to co ochrzciła mianem „anarchii", „obalenia podstaw porządku społecznego" oznacza koniec jej klasowego panowania. Burżuazja widziała wypisane na sztandarach powstańczych hasło dwudniowego rabunku podczas, gdy powstańcy umieścili na nich jedynie swe postulaty zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka.

Atak na barykadę 25 czerwca

Burżuazja twierdziła, że w kieszeniach jeńców — powstańców znaleziono ogromne ilości banknotów, podczas gdy znajdowano tam jedynie — i to nie często — garść miedziaków.

Wymyśliła wreszcie, że powstańcy wprowadzili bony na kobiety na Faubourg Saint Germain, tak jakby kobiety z ludu były mniej warte niż damy z towarzystwa. Tę kampanię oszczerstw można jedynie porównać z kłamstwami, które szerzono w czasie Komuny Paryskiej i po jej zdławieniu. To, że burżuazja ucieka się do kłamstwa, by usprawiedliwić swe represje okrywa ją największą hańbą.

Burżuazyjny republikanin Spuller, przyjaciel Gambetty, mimo wrogości, jaką żywił względem powstania podkreśla w swojej „Histoire parlamentaire de la seconde Republique" tchórzostwo burżuazji. Istotnie gwardziści narodowi z najbogatszych dzielnic z wielką chęcią ustępowali miejsca niebiosom w pierwszych szeregach natarcia. Dopiero na tyłach odzyskiwali równowagę ducha i trzeba było wielu zaproszeń „Panowie, na was już czas", by ich przyprowadzić tam, gdzie świstały kule. Flaubert w swoim wychowaniu sentymentalnym pozostawił nie zapomniany obraz naszkicowany częściowo na podstawie jego przyjaciela Maksyma du Camp, rannego w szeregach obrońców porządku, a częściowo w oparciu o autentyczne źródła. Jest to obraz strachu i tchórzostwa burżuazji w obliczu prawdziwej walki; ojciec Roque, który jako gwardzista narodowy przybył z prowincji w dn. 26-go by bronić porządku prosi o skierowanie go do pilnowania jeńców rozlokowanych w Tuileries pod nasypem nad brzegiem wody,jeńcy znajdują się w straszliwych warunkach. Roque zabija jednego z nich, który z płaczem prosi o chleb.

„Po czym pan Roque udał się do siebie, posiadał bowiem dom przy Saint Martin, gdzie przygotował był sobie już dawniej mieszkanko; uszkodzenia jakie poniosła fasada jego nieruchomości w czasie zamieszek wpłynęły w znacznej mierze na jego wzburzenie. Patrząc na nie teraz odnosi wrażenie, iż wyolbrzymiał przed tym wyrządzone mu szkody. To co uczynił przed chwilą uspokoiło go, jak wynagrodzenie za poniesione straty".

*) Fragment książki pt. „Historia rewolucji 1848 r. we Francji".

[1]) Marks. Walki klasowe we Francji, str. 53.

SYN LUDU

(Dokończenie)

większą partią kraju. A przecież musiała pokonywać przeszkody, jakich nie zaznała żadna inna partia we Francji. Od początku swego istnienia miała przeciwko sobie zwarty blok partii reakcyjnych, począwszy od prawicy a skończywszy na oportunistach socjalistycznych. Żadną partię nie obrzucano takimi masami oszczerstw i nienawiści. Ale też nie należy się dziwić sukcesom komunistów francuskich. Oni jedni posiadali naukową, ścisłą i wypróbowaną w praktyce teorię zwycięskiej walki o lepszy świat: marksizm-leninizm. Oni jedni reprezentowali konkretny i jasny program. W ciągu trzydziestu lat robotnik francuski przekonał się, że tylko ta partia stoi nieugięcie na straży jego interesów.

Czołowa rola jaką komuniści odegrali w walce o wolność Francji, zaufanie do nieskazitelnej uczciwości ich przywódców, wyniki efektywne pracy i walki komunistów zarówno, w dziedzinie ustawodawczej jak i wszędzie tam, gdzie komuniści mają możność realizować swój program (np. w miastach o radach miejskich z większością komunistyczną), wszystko to wzmocniło autorytet Partii Komunistycznej w latach powojennych i przynosiło coraz większe zwycięstwa wyborcze. Obecnie Partia Komunistyczna jest największą partią francuską i posiada 30 proc. deputowanych w Izbie.

Hart swój partia komunistyczna zdobywała nie tylko w upornej walce o socjalizm z wrogami wewnętrznymi, lecz przede wszystkim przez ustawiczną czujność wewnątrz partii i przezwyciężanie odchyleń od zasadniczej linii marksizmu-leninizmu, tak w kierunku oportunizmu jak lewactwa.

Niebezpieczeństwo lewactwa wystąpiło szczególnie ostro podczas pobytu Thoreza w więzieniu 1930 roku. Wytworzyła się wtedy w Partii niezdrowa „atmosfera koszar", oderwanie od dołów partyjnych. Partia przypominała zebranie „buzi zamkniętych na kłódkę", zamilkła płodna krytyka. W praktyce to oderwanie się od mas objawiło się w źle pojętej „dyscyplinie", w „romantycznej pogardzie dla codziennej rzeczywistości". Zapoznano naukę Lenina o taktyce proletariackiej, zapomniano, że polityka jest art du possible. Odrzucono doraźne, małe żądania mas pod bezdusznym hasłem „walka o befsztyk skończyła się".

Siłę Partii Komunistycznej stanowił także jej głęboki realizm, trzeźwość polityczna, konsekwencja, wierność idei Lenina — Stalina. Żyjąc w warunkach kapitalistycznych, w ustroju parlamentarnym Partia Komunistyczna, nie tracąc ani na chwilę z oczu zasadniczego celu przebudowy społecznej w duchu rewolucyjnym potrafiła zatroszczyć się o codzienne, bieżące potrzeby robotnika i wywalczać konsekwentnie na drodze parlamentarnej jego „małe" prawa. Potrafiła też w przełomowych okresach wykazać dużą elastyczność taktyki przy niewzruszalności zasadniczych celów i nie uległa sekciarstwu ani doktrynerstwu .

W ostatnich dwu rozdziałach książki Thorez wyjaśnia politykę powojenną Partii Komunistycznej i jej obecny program. Program ten jest programem ludu francuskiego. W nim a nie w dyktowanych przez imperialistyczne ośrodki dyspozycyjne posunięciach rządu Bidaulta i Mocha przejawia się istotna wola ludu. Jedynie Partia Komunistyczna zdolna jest poprowadzić lud francuski do lepszej przyszłości. W jej szeregach skupia się awangarda francuskiego ruchu robotniczego, podstawowe masy chłopskie i czołowa inteligencja twórcza: uczeni i artyści. Wszyscy oni, jak wszyscy zresztą uczciwi Francuzi mogą powtórzyć — za Aragonem: „Partia moja zwróciła mi barwy ojczyzny..."

Edmund Niziurski

RAFAŁ GERBER

„PROLETARIAT" W SPRAWIE CHŁOPSKIEJ

Już od zarania swej rewolucyjnej działalności zajmowała się polska klasa robotnicza sprawą chłopów, przede wszystkim bezrolnych. Pierwsze rewolucyjne organizacje robotnicze, zwracając główną uwagę na robotników, poruszały równocześnie nędzę biedoty chłopskiej.

W pierwszej nielegalnej gazetce więziennej „Głos więźnia" — organ więźniów socjalistów polskich, wydawanej w X Pawilonie Cytadeli warszawskiej w 1879 roku znajdujemy szereg „korespondencji" — artykułów więźniów, omawiających ucisk i nędzę chłopów bezrolnych. Korespondencja z nad Bystrzycy opowiada o losie 20 chłopów, którzy „zebrawszy ciężką pracą trochę grosiwa kupili se od właściciela wsi Borów, niejakiego Trzcińskiego po kilkanaście morgów gruntu". Dziedzic zadłużywszy się po uszy na hulanki, stracił majątek, który został wystawiony na licytację. Chłopi, jako niewpisani do ksiąg hipotecznych, zostali wyzuci ze swej własności. „Oj to prawo, to prawo!" — pisze korespondent gazety więziennej — „Dyć to czyste bezprawie! Nawet, bracia moi, nie pozwolili im rozebrać gospodarskich budynków, gdyż prawo mówi, że co na gruncie stoi należy do właściciela gruntu. Biedni ludziska — nie dość, że z ich pracy żyje rząd i panowie, jeszcze ten rząd i ci panowie zagrabiają ich mienie i ty dziedzicu Borowa, ciężko odpowiesz, żeś nie zabezpieczył własności biednych kmieci".

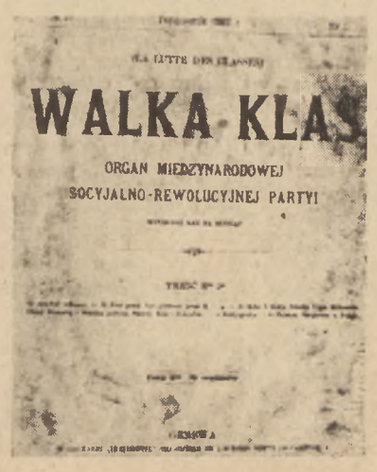

„Głos więźnia" wydrukował również wiersz zwrócony do chłopów, wzywający ich do wspólnej wraz z klasą robotniczą walki z uciskiem i wyzyskiem.

PIOSNKA LUDOWA

A słuchajta jacy tacy
I starcowie i chłopacy
A dyć wy pewno nie wiecie
Co to się robi po świecie

Od wieków na pańskiej roli
Chłop pracuje w czoła pocie
A za to we łzach niedoli
W nędzy żyje i ciemnocie!

Oj pamiętają ojcowie
Kiedy to batem panowie
Na pańszczyznę człeka gnali
Kieby wołu zamordowali.

Oj straszne to casy były
Dzisiaj trocha się zmieniły
Rząd dał piachu zamiast ziemi
I ogłosił nas wolnemi!

Oj wolności! ty wolności
Jak pod tobą trzescą kości
Kiej nie chcę — to nic nie robię
Mogę z głodu zdychać sobie!...

A podatków co niemiara
Strach pomyśleć taka chmara
A więc na nich z całej mocy
Charuj od świtu do nocy!...

Nie zapłacis w cas — sprzedadzą
Ci caluchną twą chudobę
A ciebie do kozy wsadzą
Na męczarnie, na chorobę!

A panowie, a bogaci
Co ssą naszą krew i pracę
Nic nie robiąc jedzą, piją
Kieby w raju w sceściu żyją,

Hej! dość bracia! dość ludowie
Dość nam męki tej wiekowej
Nadchodzi dobra godzina
Lud poruszać się zaczyna!

Hej ta ziemia polska cała
Zlana naszym potem, łzami
Czas, by znów się nam dostała
Jak to było przed wiekami!

Boć dla wszystkich Bóg ją stworzył
Panowie ją sobie wzięli.
Stąd lud ciężkiej doli dożył
Stąd rabować go zaczęli

Ej na świecie dziwne dziwy
Lud się budzi nieszczęśliwy
Precz—wola—z rządem, z carami
Precz z panami — pijawkami

A co my to, moi mili
Będziem jeno się patrzyli
Kiej tam bracia w innej stronie
Giną już w ludu obronie!!!

Hej! za kosy!... jeno śmiało
A zwyciężym jak Bóg żywy
Boć to bracia nas niemało
I lud będzie znów szczęśliwy!

Powstała w 2 lata później pierwsza partia polskiej klasy robotniczej „Proletariat" rozumiała, że nie wolno zaniedbywać propagandy wśród chłopów. Wydała więc w czerwcu 1883 r. odezwę do chłopów, wzywającą do czynnego udziału w ruchu rewolucyjnym, w dwóch językach: polskim i litewskim, ze względu na kolportowanie jej również na Wileńszczyźnie. Podajemy odnalezioną odezwę w języku litewskim, wraz z równorzędnym jej tekstem polskim.

DO PRACUJĄCYCH NA ROLI

Manifest

Komitetu Centralnego Socjalno-Rewolucyjnej Partii.

Włościanie!

Dawne to czasy, kiedy panowie odebrali Wam gwałtem lub podstępem ziemię, na którejście z dziadapradziada pracowali i zrobili z Was swoich poddanych. Ciężka Wasza niewola zostawiła Wam wtedy jedno wyjście: połączyć się i własnymi siłami odebrać to, co Wam dawniej wydarto.

Car przed laty dwudziestu wyjście to czasowo przerwał, dając Wam ziemię. Lecz ileż jej dał? Dziś zaledwie połowa z Was cokolwiek posiada, a ledwie jeden z pięciu ma dość na swoje pożywienie: reszta musi jak dawniej pozostawać w pańskiej niewoli, bodaj czy nie cięższej jak dawniej.

Ziemi Wam trzeba!... Kto ją Wam da? Kto dolę Waszą polepszy?

Może panowie? Nie, wydartego nikt dobrowolnie nie oddaje. Może car? Od niego się spodziewaliście; sądziliście, że nienawidzi on również Waszych „panów", którzy dawniej o buntach myśleli i na złość im Wam ziemię odda Ale kruk krukowi oka nie wykole, o buntach panowie dziś zapomnieli, lub gwałtem pragną zapomnieć. Car z panami trzyma i ziemi im odbierać nie chce i nie będzie. Wyraźnie to przecież powiedział podczas koronacji.

Ziemi Wam car nie da. Zamiast niej nakłada coraz to nowe i cięższe podatki, odbiera Wam za nie ostatnie bydlę z obory. Na koronacji wprawdzie „darował" zaległe podatki, ale za to przed koronacją niemal nahajkami wyduszał ostatni grosz z chłopskiej kieszeni, zaległości więc było niewiele. Za to sprawił sobie kosztowną koronację, suto raczył bogatych panów, rozdawał im ordery, podarunki. Za czyjeż to wszystko pieniądze? Za Wasz grosz, krwawo na roli zapracowany, za podatki nakładane na każdy towar, który kupujecie i w cenie opłacacie podatek rządowi. Darował więc zaległości, których odebrać nie mógł, ze sto tysięcy rubli, ale zdarł z Was na bale, wina, fajerwerki podczas koronacji — ze dwadzieścia milionów: za każdy darowany rubel zdarł z Was dwieście! A ziemi nie dał i nie da. Na wyprawionym za Wasze pieniądze bankiecie śmiał Wam rzucić obelgę, mówiąc, że nowych podziałów ziemi nie będzie, że pragną ich tylko jego wrogowie. Któż tymi wrogami? Przede wszystkim Wy, bo podziału pragniecie; car sam na walkę Was wzywa, on chce dalej dusić, ciemiężyć, bronić zawsze i wszędzie pańskiej własności. A potem, socjaliści, my, którzy od dawna dla Was z carem wojujemy, którzy dla Was pragniemy ziemi, aby każdy miał na czym pracować i z czego żyć. Gotujcie się do walki z carem, bo Was ona nie minie, gotujcie się prędko, bo niedługo może wybuchnąć!

My, socjaliści, w imię Waszych potrzeb i interesów walkę podjęliśmy i gotujemy zgubę i zagładę wszystkiemu, co ciemiężyy lud pracujący. Jak robotnikom miast fabryki, tak Wam, włościanie, ziemię, a wszystkim wolność da przyszła rewolucja. By jednak panowie nie wyzyskali jej na swoją korzyść, Wy całą masą powinniście w niej przyjąć udział i sami baczyć, by Was nie skrzywdzono. Wiecie, ilu Was jest, jeśli wszyscy pójdziecie, to któż ośmieli się Wam dyktować prawa? Jeśli zgodnie stawiać będziecie Wasze żądania, to któż im odmówi?

W chwili rewolucji my będziemy z Wami; poznacie nas, bo my jedni będziemy mówić:

Ziemia należeć winna do tych, którzy ją orzą.

Fabryki do tych, którzy w nich pracują.

Do walki więc stawajcie, a tem prędsze będzie nasze wspólne nad wrogami zwycięstwo!

Warszawa, d. 24 czerwca 1883 r.

Komitet Centralny —

Niepiśmiennym przeczytać!

W drukarni partii „Proletariat" („Przedświt", Nr. 22, Genewa, 15 lipca 1883 r.).

Rafał Gerber

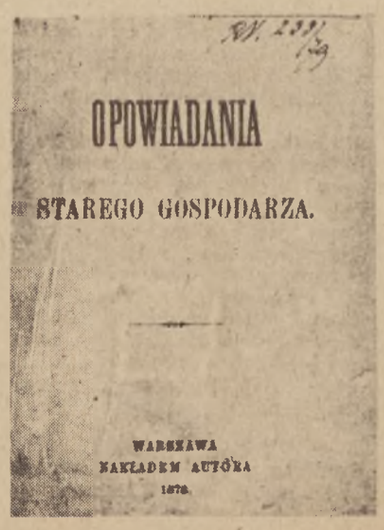

MAURYCY THOREZ

FRONT LUDOWY*)

I

Od początku 1934 r. podkreślaliśmy absolutną konieczność jednego szerokiego frontu, który obejmowałby republikanów, demokratów, liberałów, socjalistów i komunistów, — proletariat i klasy średnie — i który wystąpiłby zdecydowanie przeciwko faszyzmowi. Przywódcy socjalistyczni wysuwali jednak bezustannie zastrzeżenia i przeszkody.

„Jedność organiczna przez zlanie dwu partii, byłaby lepsza niż jedność działania z utrzymaniem dwu partii — powiadali. — Stwórzmy więc jedność organiczną". Odpowiadalismy, że najlepszym sposobem przygotowania połączenia obu partii jest właśnie jedność działania.

Ludzie pracy poparli nasze stanowisko.

Niektórzy przywódcy socjalistyczni chcieli sprowadzić wielki problem jedności proletariackiej do szczupłych proporcji zatargu między augurami. Proponowali zakończenie rokowań paktem „nieagresji". W jedności działania dostrzegali tylko środek, który miał skłonić nas do rezygnacji z krytyki ich partii. Wyjaśniliśmy, że nie chodzi tu o leczenie ran miłości własnej, lecz o zorganizowanie wspólnej walki. W miejsce paktu „nieagresji" proponowaliśmy pakt jedności walki.

W kraju wspólna walka już się zaczęła. Hasło „jedności działania", rzucone przez dziesiątki tysięcy manifestantów 12 lutego 1934 r., zostało podchwycone na prowincji. Rozbrzmiewało wszędzie, gdzie pułkownik de La Rocque gromadził swoje bojówki.

Zdecydowaliśmy się ponieść ofiary konieczne dla zrealizowania jedności. Na naszej konferencji narodowej w Ivry, w czerwcu 1934 r. myśleliśmy tylko o jednym; o zjednoczeniu.

Oskarżano nas o nieszczerość — o pragnienie „skubania drobiu", jak powiedział na naszym kongresie w Paryżu w 1922 r. dawny działacz komunistyczny, który przeszedł do Partii Socjalistycznej. Nasza dobra wola, nasza stanowczość, zaprzeczały tym złośliwym twierdzeniom.

Chcieliśmy jedności gorąco i uparcie.

„Walki, bitwy, w których od 9 lutego lała się krew naszych 17 męczenników — są dopiero początkiem. W wyścigu między „nami" i „faszyzmem", burżuazja chce nas zdystansować i jeśli nie będziemy ustawicznie przyśpieszać „naszego marszu do wspólnego frontu", faszyzm może zwyciężyć klasę robotniczą. A my przecież nie chcemy, aby faszyzm opanował Francję.

...„Za wszelką cenę", chcemy działania.

„Za wszelką cenę", chcemy jedności działania". **) Ci, którzy chcieli dyskutować, ociągać się, gderać, podczas gdy nieprzyjaciel stukał do drzwi, byli podobni do teologów bizantyjskich, kłócących się o płeć aniołów... gdy wróg stał u bram.

W departamencie Sekwany federacja socjalistyczna i komuniści zawarli ugodę. Pakt jedności działania został podpisany przez Partię Komunistyczną i Partię Socjalistyczną 27 lipca 1934 r. w małej sali restauracji Bonvalet, na bulwarze du Temple.

Pakt był dla nas, komunistów, zobowiązaniem świętym. Uważaliśmy socjalistów za braci, cieszyliśmy się z ich sukcesów jak z naszych własnych. Olbrzymia większość robotników socjalistycznych odpowiedziała z całego serca na nasze uczucia braterstwa. Lecz w naszych stosunkach z ich przywódcami jedność winna być podwójnie mocna.

Na konferencji w Ivry, podjąłem wysiłek rozproszenia nieporozumień, które mogły oddalić radykałów od nas i od ich własnych prawdziwie republikańskich przywódców.

Potwierdziliśmy wolę naszej Komunistycznej Partii obrony swobód demokratycznych. Republika, mówili Engels i Lenin jest „najlepszą formą rządu dla proletariatu w warunkach kapitalizmu".

Ponowiłem deklarację, złożoną piętnaście miesięcy temu na mównicy Izby Deputowanych. „My komuniści, kochamy nasz kraj" ***). Kochamy naszą Francję, klasyczną ziemię rewolucji, ognisko komunizmu i swobody. Problem nie polega na wyborze między komunizmem a faszyzmem, mówiliśmy, lecz między faszyzmem i demokracją.

Te oświadczenia wywołały wielki oddźwięk w kraju. Reakcja natychmiast zmieniła swoją taktykę. Dotąd zarzucano nam, że jesteśmy marksistami-leninowcami. Po Ivry, byliśmy świadkami śmiesznego widowiska; marksizm-leninizm znalazł nieoczekiwanych obrońców, którzy oskarżali nas, że zapominamy o naukach Marksa i Lenina.

Broniliśmy tym żarliwiej swobód demokratycznych im bardziej chcieliśmy je rozszerzać. Dyktatura proletariatu, ta integralna demokracja dla ludu nie jest niczym innym, jak tylko zastosowaniem w praktyce okrzyku Saint-Justa: „Nie ma wolności dla morderców wolności!".

9 października 1934 r. w sali Bullier w Paryżu a następnie 24 października w Nantes, niemal w wigilię kongresu radykałów, zaproponowałem zjednoczenie w ramach „Ludowego Frontu chleba, wolności i pokoju". Po raz pierwszy zostało rzucone hasło, które miało poprowadzić lud francuski do zwycięstwa...

Reakcja zrozumiała bardzo dobrze, że Front Ludowy mógł złamać atak faszyzmu i otworzyć w naszym kraju erę postępu politycznego i społecznego.

Próbowała więc zastraszyć zarówno radykałów, jak socjalistów.

Ci, którzy wczoraj jeszcze łżyli Partię Radykalną, teraz dawali jej lekcję „zdrowego rozsądku", wyjaśniali z całą powagą, że nie powinna „kompromitować się" z komunistami. Groźbami i pochlebstwem reakcja starała się zatrzymać partię radykalną, wywołać rozłam w jej łonie.

Po zwycięstwie Frontu Ludowego w wyborach do rad miejskich, oligarchia finansowa i jej agenci nie uznali się jeszcze za zwyciężonych, twierdząc: Front Ludowy mógł się utworzyć przeciwko *czemuś*, lecz będzie niezdolny do utrzymania swej jedności dla zrealizowania *czegoś*. Rozproszy się, gdy trzeba będzie wypracować program.

Wypracowanie wspólnego programu Partii Socjalistycznej, Partii Radykalnej, Partii Komunistycznej nastręczało, rzecz jasna, trudności. Mogły się one stać nie do przezwyciężenia, gdyby każda Partia chciała przeprowadzić własny, szczegółowy program.

Partia komunistyczna ma swój program, który zmierza do przemiany społecznej. Nie zaniedbuje ona również dążeń bardziej bezpośrednich o charakterze gospodarczym i politycznym. W oparciu o te bezpośrednie dążenia zgoda była możliwa. Jedność wymaga wzajemnych ustępstw. Przywódcy socjalistyczni, zwłaszcza Paul Faure nieszczerze głosili, że napędzono nam strachu i że staliśmy się oportunistami. Przecież chodziło o program działania, chcieliśmy, żeby nie był on katalogiem obietnic dla zwabienia wyborców, lecz zbiorem ściśle sprecyzowanych zobowiązań.

Ci, którzy poczynali sobie najbardziej śmiało — póki chodziło o ogólne formuły, stawali się bardzo powściągliwi, gdy tylko zaczęło się mówić konkretnie o określonych żądaniach. Ci sami, którzy zarzucali nam umiarkowanie podczas opracowywania wspólnego programu, zarzucali nam z kolei nieustępliwość, kiedy żądaliśmy jego całkowitego wykonania.

Wspólny program zapowiadał amnestię generalną, rozbrojenie efektywne, rozwiązanie organizacji faszystowskich, uchylenie ustaw krępujących prasę, powszechne wykonanie i uszanowanie prawa związków zawodowych.

Żądał on nacjonalizacji przemysłu zbrojeniowego, międzynarodowej współpracy w ramach Ligi Narodów, rozszerzenia na wszystkich systemu *otwartych* paktów. Wzywał do walki o pokój.

W dziedzinie ekonomicznej program głosił podniesienie stopy życiowej mas, ustanowienie narodowego funduszu bezrobocia, skrócenie tygodnia pracy, zaopatrzenie dla starych pracowników, podniesienie wartości produktów rolnych, reformę skarbową w duchu demokratycznym.

Taki był program Frontu Ludowego. Pomimo zwycięstwa wyborczego 25 maja 1936 r. program pozostał w dużej części martwy. Dlaczego? Nie potrafiliśmy przezwyciężyć wrogości przywódców socjalistycznych i radykałów, którzy przeciwstawili się wyborom Komitetów Frontu Ludowego w fabrykach i na wsiach. Nie potrafiliśmy przeprowadzić idei Narodowego Kongresu Frontu Ludowego, złożonego z delegatów wybranych na zebraniach przez podstawowe masy robotnicze. Komitet Narodowy, wyznaczony przez Kongres, miał czuwać nad wykonaniem programu. Front Ludowy, którego byliśmy szczęśliwymi inicjatorami i który dawał pomyślne nadzieje, stał się zwykłym związkiem wierzchołków partyjnych.

II

6 maja zwołaliśmy w Mutualité konferencję prasową, na której Duclos i ja chcieliśmy wyjaśnić postawę naszej Partii. Nie uważaliśmy za dogodną obecność komunistów w rządzie. Była ona wyzyskiwana przez wrogów ludu; służyła za pretekst do kampanii wściekłości i zagrażała zmniejszeniu sił Frontu Ludowego. A przecież wyłącznym pragnieniem Partii Komunistycznej było powodzenie wspólnego przedsięwzięcia. Wprowadzenie programu w życie.

Oświadczyliśmy: „Będziemy podtrzymywać bez zastrzeżeń siły demokracji i pokoju, podeprzemy każdy wysiłek polepszenia doli ludzi pracy. Zapewniamy rząd o naszym całkowitym poparciu w Izbie i w kraju — celem zastosowania polityki odpowiadającej wskazówkom udzielonym przez ostatnie głosowanie.

Jesteśmy przekonani, że klasa robotnicza urzeczywistni swoją misję historyczną: przemianę społeczeństwa kapitalistycznego w społeczeństwo, które więcej nie zazna wyzysku człowieka przez człowieka. Lecz, tymczasem, nie o to chodzi, chodzi, by nie zawieźć oczekiwań ludu.

Masy dały zwycięstwo Frontowi Ludowemu. One będą czuwać nad wykonaniem programu".

Skoro gabinet Bluma zaprezentował się Izbie, Jacques Duclos, ponowił nasze zapewnienie o współpracy ścisłej i lojalnej. Rząd był w stanie przezwyciężyć wszystkie trudności, ponieważ swój autorytet wywodził z ludu.

Zwycięstwo wyborcze Frontu Ludowego rozpętało potężny ruch ludzi pracy świadomych swej siły. Wszędzie formułowano te same żądania: poprawę i podwyżkę płac, prawo związkowe, delegaci zakładowi, umowy zbiorowe, czterdziestogodzinny tydzień pracy, płatne urlopy.

Upośledzenie płac, arbitraż pracodawczy, bezrobocie, zdeptane prawo związkowe, prawie zupełny brak umów zbiorowych, zacofane ustawodawstwo społeczne, ciężary publiczne, podatki, czyniły życie robotników francuskich niewymownie uciążliwym. W 1934 r. płace osób, których zarobek nie przekraczał 18.000 franków rocznie, wynosiły we Francji 5 i pół miliona franków.

Z tych 5 i pół miliona — 2/3 stanowiły płace niskie do 9.600 franków rocznie, inni zarabiali od 20 do 32 franków dziennie.

W ciągu niecałych dwu tygodni, strajk o straszliwym rozmachu ogarnia cały kraj. Walka przybiera nowe formy: rozwija się od wewnątrz, w dyscyplinie i porządku.

Podczas strajku w bramach okupowanych fabryk, na frontonach domów, na szczytach wysokich kominów i rusztowań zakwitły sztandary czerwone i trójkolorowe, których skojarzenie wyrażało przekonania polityczne klasy robotniczej.

Nie zaszedł żaden poważny wypadek. Żadnemu prowokatorowi nie udało się wślizgnąć do naszego przedsięwzięcia. Nie tknięto ani maszyn ani produktów, chyba, że chodziło o utrzymanie ich w doskonałej czystości i o ich ochronę. Tyle świadomości i pogodnej godności, taka jedność między robotnikami i robotnicami, młodymi i starymi, wyzyskiwanymi w spódnicy i w kołnierzyku, robotnikami i technikami, taka sama zimna krew — wszystko to wytworzyło wrażenie dojrzałości i spokojnej siły, która przygniotła zrazu potężnych pracodawców.

Potem zareagowali z gwałtownością rozpętując hałaśliwą kampanię przeciw „pogwałceniu własności", popełnionym przez strajkujących — a to żeby przestraszyć klasy średnie.

W ciągu tygodnia, od 7 do 14 czerwca ruch strajkowy osiągnął punkt kulminacyjny. Nowi panikarze siali niepokój na wsi. Mimo układu Matignon zawartego 7 czerwca między przedstawicielami klasy robotniczej i przedsiębiorców, liczni urzędnicy odmówili zawarcia umów z robotnikami.

Nasza Partia poparła strajk ze wszystkich sił, jej działacze poświęcali mu się bez reszty.

Jej władze miejskie i organizacje oddały się do dyspozycji związków zawodowych, które kierowały wielką armią pracowniczą.

Ta solidarność — wzywała nas do wzięcia nowej odpowiedzialności. Zachodziła obawa rozbicia Frontu Ludowego. Czy proletariat nie odetnie się od wielkiej armii ludowej?

Przyszło mi na myśl tragiczne doświadczenie czerwca 1848 r. i maja 1871 r.

Monarchia lipcowa została obalona w lutym 1848 r. przez unię proletariatu paryskiego z drobnym i średnim mieszczaństwem. Lecz wkrótce reakcji udało się podjudzić chłopów i sklepikarzy przeciwko proletariatowi. W imię „ładu" wielka burżuazja zmiażdżyła proletariat w ciągu dni czerwcowych. Gdy tylko teren został oczyszczony — zaatakowała wszystkie zdobycze Republiki i 2 grudnia 1851 r. Ludwik Napoleon Bonaparte dorwał się do władzy na ruinach demokracji.

Komuna Paryska pozwoliła się również izolować od chłopstwa francuskiego. Jej waleczni bojownicy zostali zmasakrowani przez armię „wieśniaków" podjudzonych przeciwko odłamcom z wielkiego miasta. Jednakże Komuna miała rację, mówiąc do chłopów, że „jej zwycięstwo jest ich jedyną nadzieją". Lecz oni nie rozumieli jeszcze tej prawdy. Marx, przeczuwając niebezpieczeństwo, przestrzegał robotników paryskich przed przedwczesną akcją. Jednakże, kiedy powstanie wybuchło był od pierwszej godziny i całą duszą przy bohaterskich Komunardach, tych tytanach, „którzy wstępowali w natarciu do nieba". Oddał hołd epopei, którą wypisali swą własną krwią.

„Jaką sprężystość, jaką inicjatywę historyczną, jaką ofiarność wykazali ci Paryżanie! ****)".

Trzeba było długich lat, żeby demokracja mogła się podnieść po ciosie, który wymierzyła jej reakcja, masakrując 30.000 robotników paryskich, elitę francuskiego proletariatu.

Za żadną cenę nie mogliśmy dopuścić do podobnej sytuacji. Przypominaliśmy sobie wskazówkę Lenina; nie ustępować niecierpliwym. W 1920 r. pisał do robotników francuskich.

„Tym, co zawsze dużo szkody wyrządzało we Francji jest frazes anarchistyczny".

11 czerwca w rozgorączkowanej stolicy zwołaliśmy zebranie informacyjne członków Partii.

W imieniu Komitetu Centralnego oświadczyłem:

„Ważne jest umieć prowadzić ruch strajkowy. Lecz trzeba także umieć go zakończyć. Nie chodzi dziś o pochwycenie władzy. Chodzi o zaspokojenie żądań o charakterze ekonomicznym kształcąc ruch mas świadomy i zorganizowany. Trzeba umieć zakończyć strajk skoro tylko nastąpiło zaspokojenie żądań. Trzeba nawet umieć pójść na kompromis, jeśli wszystkie żądania nie mogą być jeszcze spełnione, a zostały zaspokojone najistotniejsze i najważniejsze. Trzeba umieć przygotowywać przyszłość...

Nie powinniśmy pozwolić na uderzenie w zwartości Frontu Ludowego. Nie powinniśmy dopuścić do izolowania klasy robotniczej".

Dźwięki „Międzynarodówki" powitały tę konkluzję.

Ta mądrość polityczna przyniosła owoce. Zawierano umowy zbiorowe; zwycięzcy robotnicy opuszczali fabryki z muzyką i sztandarami na czele.

Front Ludowy nie był rewolucją. Lecz nie był także zwykłym zabiegiem wyborczym, otwierał możliwości postępowej polityki w ramach instytucji republikańskich.

Jako realiści żądaliśmy tylko tego, co było możliwe w danych warunkach, w ten sposób mogliśmy liczyć na szersze poparcie być pewniejsi sukcesów. Lecz to, czego żądaliśmy, żądaliśmy zdecydowanie i mocno. Czyż Jules Guesde nie mówił „o miarach ocalenia rzeczywiście publicznego, zgodnego z obecnym porządkiem rzeczy"?

Kiedy oświadczyliśmy, że „wszystko nie byłoby możliwe", strzegliśmy się przed nadmiernymi złudzeniami i następującymi po nich tragicznymi rozczarowaniami. Od tych, którzy chcieli zdjąć z nieba księżyc, żądaliśmy skromnie tylko pomocy przy wykonaniu wspólnego programu. Zrobiliśmy wysiłek — utrzymania we wszystkich okolicznościach tonu rozsądku, nie zapominając nigdy, że dla zwycięstwa nad faszyzmem — narzucała się konieczność jak najdalej posuniętego skupienia sił.

*) Fragmenty z książki Maurice Thoreza „Fils du Peuple".

**) Maurice Thorez: Par l'unité d'action nous vaincrons le fachisme, Str. 50—56 (czerwiec 1934).

***) Maurice Thorez: Discours sur l'Alsace. Dziennik Urzędowy z 5 kwietnia 1933 r., str. 1862.

****) Karol Marks. Listy do Kugelmana.

Antanas Venclova

Warszawa w nocy i w dzień

Warszawskie zębate ściany
Łamią morze horyzontu.
Po niebie płyną kikuty
Rozbitych czarnych domów.
Puste oczodoły murów
Patrzą w zamglone niebo,
Sączy się zapach zgnilizny
Z ciemnych piwnic ogromów.

Lecz idź wciąż naprzód, przed siebie,
Przez ruin czarne zwaliska,
Gdzie echo płaczu zostało
I głucha rozpacz nocy;
Z nieba gwiazda upadła,
I wystraszeni księżycem,
Cicho jęknęli zabici
Spod zwalisk mocy.

Nie, słuchaj, dźwięczy klawisz
Tknięty żywą jeszcze ręką!
Posłuchaj — przez jasne okno
Mazurka płyną dźwięki.
Zdawało się — miasto nocy —
Zgubiony w otchłani ton,
Pokryty warstwą popiołów,
Dom bez żyjącej ręki.

Dzwonki ulicznych tramwajów
Budzą szarą ciszę ranka.
Patrz, patrz — światło, światło tryska,
Z rozwalonych sklepień.
I w pracowity gwar dnia
Miasto po nocy wzrasta,
Otwierając swoje wrota
Ku słonecznej jutrzence.

Słyszysz, jak stukają młoty,
I wzlatuje tysiące wind,
Maszyny mielą kamienie,
W rozległą przestrzeń dnia
Wznoszą się różowe ściany,
Złamane kołami ognia,
A nowe szkło w witrażach
Znów złapie światło słońca.

Huczą koła ciężarówek
Cementem, stalą, cegłami.
Zielenią się znów Łazienki
Czarująco o świcie.
Wstają posągi z grobów,
Zniekształcone, rozbite,
Uśmiech ich rysy rozpala
Przywracając do życia.

Warszawskie noce szarą mgłą
Giną w morza horyzoncie.
Po niebie płyną kolumny
Domów jak biel obłoków.
Miasto jak ożywiony sad
Musi oddychać i kwitnąć, —
Lud je w natchnieniu buduje
Dla budujących pokój.

Tłum. Anna Lau-Gniadowska

Maksym Tank

Dom w Poroninie

We dnie i w nocy
Szumi Poroniec,
Huczy w wąwozach
Potok burzliwy,
Pędzi, jak gdyby
Ktoś za nim gonił, —
Na bystrych falach
Spienione grzywy.

Jasne, przejrzyste
Są jego wody,
Leży w nich odblask
Wierzchołków Tater.
Stoi na wzgórzu
W zieleni jodeł
Domek górala,
Zwyczajna chata.

Zwyczajna chata,
Bo takie same
Wszystkie w tym kraju
Gór, orlej sławy.
Na ciemnych belkach
Prosty ornament,
Wzory rzeźbione
Na stołach i ławach.

Ale dlaczegoś
Jedynie do tej
Chaty górala
I do jej progów
Z najdalszych krain,
Z całej planety,
Prowadzą ścieżki
I biegną drogi.

Żył tutaj kiedyś
Włodzimierz Lenin.
Opowie o nim
W słowach serdecznych
Góral wysmukły,
Poroniec ciemny,
Górski wiatr halny
Giewont stateczny.

Góral opowie
Wam o człowieku,
Który braterstwo
Kochał, swobodę,
O którym pamięć
Po wszystkie wieki
Zostanie w sercu
Jego narodu.

Potok opowie
Jak słuchał Lenin
Wód spadających,
A halniak w Tatrach —
Jak Lenin myślał
I jak na ziemi
Budził się oddźwięk
Myśli skrzydlatych.

Giewont opowie
O tym, jak Lenin
Widział ze szczytu,
W księżyca porze,
W dali, na wschodzie
Ranek wiosenny,
Światło wolności,
Komuny zorze.

Stoi na wzgórzu
Góralska chata,
Widać kraj cały
Stąd jak na dłoni:
Śniegiem pokryte
Wierzchołki Tater,
We dnie i w nocy
Szumi Poroniec.

Tłum. Marian L. Bielicki

W związku z zamknięciem Roku Mickiewiczowskiego bawi w Polsce grupa poetów ze Związku Radzieckiego. Zamieszczamy wiersze dwóch uczestników uroczystości mickiewiczowskich, wiersze związane z Polską.

ANTANAS VENCLOVA, jeden z najwybitniejszych pisarzy Litwy, syn małorolnego chłopa, urodzony w roku 1906.

W 1949 r. A. Venclowa wydał tom pierwszy pt. „O Polsce" oraz zbiór reportaży literackich z pobytu w Polsce. Venclowa jest tłumaczem Adama Mickiewicza na język litewski.

MAKSYM TANK — znakomity poeta białoruski. Urodził się w 1912 roku. Gimnazjum ukończył w Wilnie, gdzie brał udział w pracach podziemnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi.

Od roku 1947 jest delegatem do Rady Najwyższej Białoruskiej ZSRR. W roku 1949 za wiersze „Dziennik pokoju" Maksym Tank uzyskał premię Stalinowską.

JAN A. KRÓL

NIEKŁAMANA PRAWDA LUDU

„O gdybym kiedy dożył tej [pociechy
Żeby te księgi zbłądziły pod [strzechy,
Żeby wieśniaczki, kręcąc [kołowrotki...“

W setną rocznicę Jego urodzin, kiedy stawiano Mu pomnik w Warszawie, warkotały wrzeciona fabryczne Łodzi, Zgierza, Żyrardowa; mówiono — „polski Manchester“; wieśniaczki odkładały kołowrotki, w promieniu dwóch, trzech wsi zastępował je wyspecjalizowany, drobny warsztat tkacki. Była to zarazem — jak w Galicji — 50-ta rocznica zniesienia pańszczyzny. Z naturalnej, gospodarka chłopska przechodziła na towarową. Wzrastała potrzeba uwolnienia się od wielu prac, dawniej wykonywanych we własnym, domowym zakresie. Nie wieśniaczka znad kołowrotka, ale chłop podniósł się znad warsztatu tkackiego — dochodowego przesiębiorstwa...

„Gdyby też wzięły na koniec [do ręki
Te księgi proste, jako ich [piosenki!“

Wziął je do ręki tkacz- przedsiębiorca i sam napisał wiersz *„W setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza“* Nazywał się Franciszek Magryś. Wówczas już nie był tkaczem. Warsztacik tkacki — to początek jego kariery.

„Ludzie się dziwili — pisał po latach w pamiętniku o tym okresie — skąd u nas był zawsze dostatek, mimo żeśmy gruntu prawie nie mieli. Cała tajemnica naszego powodzenia leżała w tem, żeśmy *dobrze znali swoje rzemiosło, pracowaliśmy od rana do nocy i nie piliśmy wódki“*. Tajemnica polegała na czym innym. Iluż to chłopów podobnie wyznawało i praktykowało te same przykazania drobnego producenta „na dorobku“, a dorobku nie było i być nie mogło. Wieśniaczki odkładały kołowrotki, specjalista-tkacz stawał bowiem pomiędzy nimi a straganem miasteczka, uzupełniał fabryczne sukna straganu, zastępował prząśniczki.

„Zobaczyliśmy wnet, że nauczyć się sztuki pisania było by dla tkaczów bardzo pożyteczne. Przynosili do nas ludzie przędzy w wielkiej ilości, tak, że trudno było zapamiętać bez oznaczenia do kogo należała. Zabraliśmy się tedy do nauki pisania“.

Dzięki sztuce pisania powołany został Magryś na „pisarza gminnego“, na stanowisko, które zajmowali zazwyczaj panowie Zołzikiewicze, gdy obok nich wójtowali Słomkowie, z urodzenia gospodarze bogaci, „włościanie“.

Z przedsiębiorstwa tkackiego uciułał grosza na morgi: horyzonty kancelarii gminnej rozszerzyły je i zaokrągliły.

W miniaturowej skali, jaką zakreśla terytorium gminy, stał się potrosze wszystkim: „małym rolnikiem“ obok wielkich; chłopski ale „właściciel ziemski“ przedzierzga się w przedsiębiorcę, członka spółki mleczarskiej, w udziałowca sklepu i Kółka Rolniczego, w organizatora Kasy Raiffeisena. Padał w nią gęsto grosz wdowi, grosz komorników bandosów, ale ryzyko dużej pożyczki, dużego obrotu i dużej korzyści podejmował nie małorolny. Buduje Magryś kościół i plebanię. Właściciel ziemski, przedsiębiorca, kupiec i bankier w jednej osobie, wspiera kościół, aby parafia siłą tradycji religijnej wsparła jego autorytet. „W dobrze zrozumianym, własnym interesie“ działają obie strony.

W Warszawie formuje się Komitet Obchodu Setnej Rocznicy Urodzin Mickewicza, Komitet krzątający się wokół sprawy pomnika wieszcza. Na czele książę M. Radziwiłł, bankier baron L. Kronenberg, hr. F. Czacki, fabrykant Szwede i bankier Natanson.

„Siły reakcyjne chciały przywłaszczyć sobie Mickiewicza, usiłowały sfałszować obraz Jego twórczości, pragnęły zataić jej rewolucyjne i ludowe podłoże. Burżuazyjna krytyka literacka usiłowała wypaczyć lub przemilczeć rzeczywistą, głęboko ludową, społecznie — postępową i rewolucyjną w ówczesnych warunkach — mimo wszelkich zewnętrznych nawarstwień mistycznych — treść ideologiczną twórczości poetyckiej i publicystycznej Adama Mickiewicza“ *).

Za pióro chwyta Magryś i zda się, że w jego wierszu burżuazja uzyska dokument sojuszu. Ten chłopski miniaturowy latyfundysta — przedsiębiorca, kupiec, bankier i klerykał nadawał się do sfałszowania głosu wsi. Właśnie w tym roku pisał w gazecie, że „jest już we wsi zmiana na lepsze, mamy Kółko Rolnicze, gdzie my chłopi możemy nauczyć się wiele...“ I świetnie ukrył pod korcem prawdę o klasowej roli Kółka Rolniczego. Przemilczał to, że w warunkach kapitalizmu pogłębia ono rozwarstwienie na wsi. „Oświata w głowie“, jaką kółko daje, tworzy dostojną oprawę dla 20 — 30 hektarowego gospodarstwa; dla 2—3 hektarowców (a jest ich w Galicji wówczas 70 proc.) przynosi tragiczną świadomość niechybnego wyzucia z ziemi. Bo uczy ona, że lepsze (droższe) narzędzia i maszyny rolnicze, że inwestycje, że kredyt, że spółka, że nasiona selektywne, że rasowa hodowla, że giełda cen i czas do wyczekania pomyślnej koniunktury, że to wszystko — nie dla małorolnych a dla tamtych bogaczy. Dla nich zaczyna się przyspieszone tempo rozwoju, w konkurencji z nim towarowość produkcji małorolnych zmniejszy się na hektar a dochodowość na cenie jednostkowej. Tamci pochłoną ich zagony.

I Magryś zaczyna wiersz w tonacji czułej i pogodnej, jak wypadało oświeconemu prezesowi Kółka Rolniczego, akcjonariuszowi w sklepie, spółce mleczarskiej, kasie pożyczkowej i fundatorowi kościoła:

„Patrz: chciałeś dożyć tej miłej [pociechy,
Aby twe pieśni zbłądziły pod [strzechy,
Aby nadzieje wszystkich [ożywiły,
Duszę miłości ojczystej [wzbudziły.

Otóż dziś zaszły wszędy [z Bożej Woli,
Już je chłop śpiewa za pługiem [na roli,
Już kiedy zorzą błyśnie rannym [dzionkiem,
Nuci ją wieśniak wraz z miłym [skowronkiem.
Wznosząc swe modły do [niebiosów Pana,
By wolność miała Ojczyzna [kochana.

Patrz, jak wzdychamy wszyscy [do wolności,
Wielcy i mali, uczeni i prości — A jednak...“

A jednak Mickiewicz to nie Karpiński, nie Pol, nie Ujejski. I Magryś w wierszu, w próbie pisarskiej, w słowie, wzniesionym do poety, który cierpiał za miliony, przełamuje wychowanie endeckie po Macierzy i TSL-u. Porzuca „śpiewankę“:

„Już kiedy zorza błyśnie [rannym dzionkiem
Nuci ją wieśniak wraz z miłym [skowronkiem...“

Odrzuca wyuczone kłamstwo, że wszyscy wzdychamy do wolności, „wielcy i mali, uczeni i prości“. Nie wszyscy i nie do tej samej! Prezes Kółka Rolniczego, udziałowiec w sklepie, spółce i kasie pożyczkowej dostrzega, że to go właśnie różni od mas chłopskich. Prezes Kółka Rolniczego wie, że ten właśnie rok — 1898 — jest na wsi galicyjskiej rokiem przełomu. Fala emigracyjna ze 100 — 150 tysięcy w latach ubiegłych wzniosła się raptownie do pół miliona ludzi. Wędrują chłopi polscy, Rusini, Żydzi (karczmarze, sklepikarze, wędrowni handlarze). Prezes wie, że analfabetyzm w Galicji sięga 4 milionów (65 proc. ludności).

Magryś da świadectwo tej prawdzie w obliczu poety, który pisał w „Trybunie Ludów“: „Wrogowie ludu w Europie nie przestali działać solidarnie, na każdym kroku czynem stwierdzając tę solidarność, świadomi więcej, niż ktokolwiek inny swych wspólnych niebezpieczeństw, związali się oni jak nigdy przedtem“.

„Patrz — odpowiadał Magryś — jak wzdychamy wszyscy do wolności,

Wielcy i mali, uczeni i prości —
A jednak...“

A jednak...“ zawahał się wobec burżuazyjnej fikcji „zgody narodowej“. Bo ten drobny producent „na dorobku“, który wyszedł z rodziny komorniczej, z dzieciństwa tkacza-chałupnika i uwierzył w sakramentalną formułę optymistycznego kapitalizmu w jego wczesnej fazie: *kapitalik (warsztat) — praca — modlitwa!* — pragnął optymizmu powszechnego, któryby potwierdzał jego własny. Rzeczywistość zadawała temu kłam. „Galicja w liczbach“ Szczepanowskiego była to już kolonia kapitału monopolistycznego. W 1898 r. prezes Kółka Rolniczego odczuwał równocześnie te dwie prawdy; „możemy nauczyć się wiele“, co znaczyło: on i inni bogatsi gospodarze oraz tę drugą, powszechniejszą na wsi — i kiedy o wolności począł pisać, rozmowę wiodąc z Tym, który walkę o niepodległość Polski, całe swoje bezgraniczne oddanie sprawie wyzwolenia narodowego, wiązał jak najściślej z walką o wyzwolenie społeczne — wówczas tej drugiej prawdzie dał również głos.

„A jednak — wieśniak żyje [utrapiony
Choć wszystkich żywi, często [pogardzony.
Chleb swój spożywa zawsze [z wielkim trudem,
Sił mu nie staje, żyje prawie [cudem,
Obłożon lichwą srogą, [podatkami,
I równie ciężko karczmą, [wyszynkami.
Każdy chce tylko panować nad [nami.
Opieki mało — a między [panami
Bankierzy górą. Obszary [zabrali
I chłopskie grunta już [zlicytowali.
Zginie Ojczyzna, jak tak dalej [będzie
I naród obcy ojczyznę [obsiędzie“.

Jan A. Król

*) Z przemówienia prezydenta Bolesława Bieruta na uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie w dniu 28.I.1950 r.

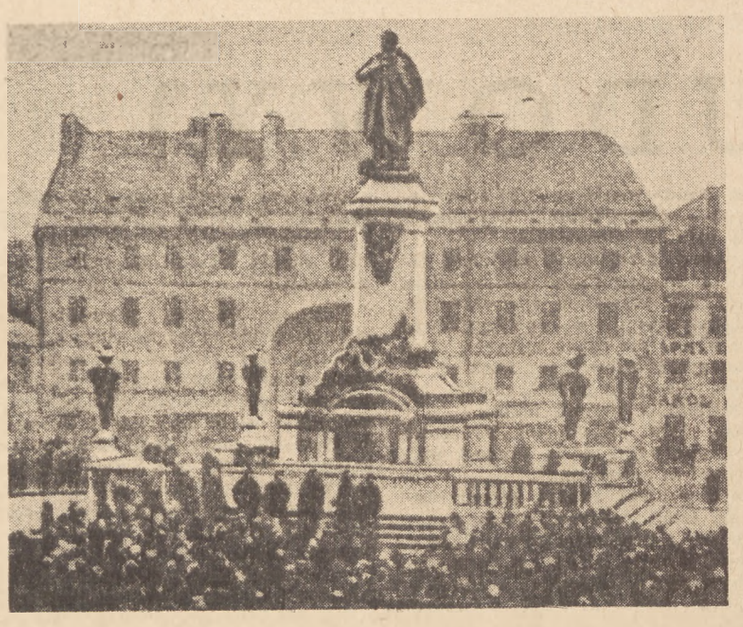

Rok 1898

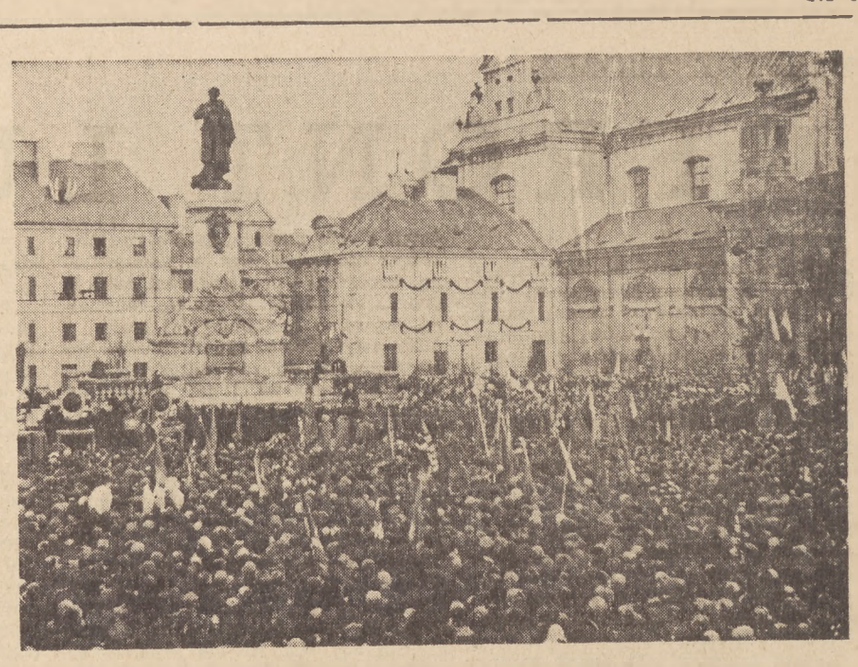

Rok 1950

MARIA JANION

BOY O MICKIEWICZU

„Wzniesiono tedy Mickiewiczowi pomniki, uczyniono zeń rodzaj „trzeciego maja“ przeciw pierwszemu majowi, sztandar przeciw socjalistom. Mickiewicz — to była tradycja, kontusz, wiara, ład i porządek. To była „reakcja“...

Sfery dające wówczas ton polskiemu życiu, te sfery, które z autora „Pana Tadeusza“ chciały uczynić „swojego“ poetę, aż się wzdrygnęły na widok wyłaniającego się z mroku Mickiewicza „czerwonego“, „jasnego socjalisty“.

Ukazanie się na rynku księgarskim zbioru artykułów Boya o Mickiewiczu *) prawie w przeddzień odsłonięcia odbudowanego pomnika wielkiego poety narodowego posiada szczególną, symboliczną niemal wymowę. Boy w swej kampanii o „Mickiewicza żywego“, rozpoczętej w r. 1929, odsłaniając z pasją zakłamania i fałsze ówczesnej mickiewiczologii, posłużył się na oznaczenie tej wiedzy przenośnią pomnika z brązu, przedstawiającego Mickiewicza nie prawdziwego, „ucharakteryzowanego na bożka“ i domagał się rozpoczęcia gruntownych prac nad nowym uformowaniem, przelaniem posągu. Protestował przeciwko „ludowemu“ — w burżuazyjnym znaczeniu tego słowa — wydaniu sfałszowanych dziejów Mickiewicza, przeznaczonych dla „prostych i maluczkich“, cynicznie oszukiwanych przez autorytety burżuazyjnej nauki.

Kampania Boya w ówczesnych warunkach historycznych nie mogła jednak doprowadzić do żadnych rozstrzygających zmian w zmąconym obrazie Mickiewicza. Dopiero epokowy zwrot w dziejach Polski umożliwił nowe, rewizjonistyczne spojrzenie na Mickiewicza, odarł jego postać z wiekowego nawarstwienia fałszów i przeinaczeń, a pomnik poety na Krakowskim Przedmieściu, będący symbolem naszej rewolucyjnej wiedzy o Mickiewiczu, uczynił naprawdę ludowym, to znaczy — narodowym.

Wystąpienia Boya w sprawie Mickiewicza spotkały się oczywiście z ostrą odprawą ze strony zaatakowanych „brązowników“. Nie znaczy to jednak, że kręgi polskiej lewicy — tak dwadzieścia lat temu, jak i dziś — godzą się bez zastrzeżeń na wszystkie wywody Boya. Jego książka — obok wielu stwierdzeń słusznych — zawiera szereg niesłusznych — i nikt tego nie pragnie ukrywać. Poza tym — enuncjacje Boya, skierowane do „szerokiej, bałamucącej się postępowo, masy inteligencji i pół-inteligencji naszej“ (jak to pięknie określił prof. Pigoń w broszurce „O Bronzach, Bronzownikach i Bronzoburcy“, 1930, odbitka z „Myśli Narodowej“), czyli po prostu do liberalizującej inteligencji mieszczańskiej, bywały często błędnie rozumiane przez odbiorców. Byli oni skłonni na przykład stawiać znak równości między „Mickiewiczem żywym“ a Mickiewiczem „en pantoufles“. Było to w tym oczywiście trochę winy samego Boya. I dziś, gdy się bierze do rąk książkę „Boy o Mickiewiczu“, uderza w pewnych miejscach jej plotkarskie zacięcie.

Jak wytłumaczyć potknięcia Boya; jakie znaczenie na jego praca dziś w naszej walce o Mickiewicza prawdziwego? Historyczny sens kampanii Boya da się zrozumieć tylko na tle jego własnej teorii kultury i w kontekście ówczesnej sytuacji polskiej nauki burżuazyjnej.

Boy dostrzegł jasno proces degeneracji rozkładający od wewnątrz naukę burżuazyjną. Charakterystyka tej groźnej choroby, zawarta w wystąpieniach Boya na tematy mickiewiczowskie, należy chyba do najtrafniejszych i najostrzejszych, jakie posiadamy w polskiej publicystyce naukowej.

Burżuazyjna mickiewiczologia w 20-leciu znalazła się na tym etapie rozkładu, który można nazwać „etapem augurów“. Współistniały wówczas równolegle dwie nauki: jedna — oficjalna, zakłamana, „dla ludu“, druga — zamknięta, szeptana na ucho, „dla wtajemniczonych“ Obwarowany klan „wtajemniczonych“ nie chciał tolerować wścibstwa niezawodowców. Na gruncie polskim to wewnętrzne, historycznie ogólnie znane, rozdarcie nauki burżuazyjnej pogłębiały obciążenia przeszłości, która przekazała Mickiewicza jako symbol „tradycji, kontusza, wiary, ładu i porządku“. Tych symbolów trzeba było bronić za wszelką cenę przed naporem rewolucyjnego nowatorstwa „ludzi z boku“. Na odcinku mickiewiczologii nauka burżuazyjna zatem była specjalnie uwstecznicona.

Do charakterystyki tego specyficznego, schyłkowego rozdwojenia nauki burżuazyjnej Boy powracał niejednokrotnie. Pisał: „...istnieją u nas dwie wiedze: jedna urzędowa, druga prywatna, przekazywana sobie między fachowcami na ucho“, „...jak połączyć brąz z życiem, świętość ze swobodą badań i prawem krytyki?“, „Z tego stanu wynika, zdaje mi się, sprzeczność: mianowicie, że jedną drogą idą oficjalne frazesy kultu, a drugą — dość nieśmiało — krytyczne badania; nie łączy się tych dwóch rzeczy razem, nie stapia się ich w jedno. Dokumenty zostają w zakrystii, a msza odprawia się przy ołtarzu“, „Dotychczas, ilekroć występowałem z jakąś rozmyślną niedyskrecją, zawsze stwierdzałem dwa etapy sprawy. Pierwszy to krzyk: „Kłamstwo, świętokradztwo, bluźnierstwo, pod pręgierz!“. Drugi — to szepty p.p. uczonych w piśmie: „Cóż ten Boy za Amerykę odkrywa? Myśmy to przecież dawno wiedzieli“.

Czy Boy w pełni zdawał sobie sprawę ze źródeł ustrojowych postępującej degeneracji nauki mieszczańskiej? Niebardzo. Przez książkę jego przewija się stale wezwanie, wynikające ze złudzenia, jakie przypadło w udziale wielu przedstawicielom liberalnej inteligencji mieszczańskiej. Boy przez dłuższy czas uprawiał znaną mitologię „swobodnego rozwoju“ w burżuazyjnej niepodległości, nawoływał do odsunięcia od siebie — „na progu naszego nowego życia“ — dydaktycznych obciążeń przeszłości, do zrzucenia jarzma „służby społecznej“ literatury itp. Przez sformułowanie „Mickiewicz a my“ (tytuł artykułu, który rozpoczął polemikę) rozumiał „nas“ — w „wolnym“ burżuazyjnym państwie polskim. Z drugiej strony jednak Boy jaskrawo dostrzegał reakcyjne zniekształcanie puścizny Mickiewicza, kaperowanie poety przez wsteczne obozy polityczne, na usługach których pozostawała niemal cała współczesna nauka — i to budziło jego głębokie oburzenie, prowokowało do ostrych ataków na uświęcone tradycją poglądy. W wyniku tych sprzecznych pobudek otrzymaliśmy jednak w książce Boya mocno zarysowany obraz degrengolady nauki burżuazyjnej w jej schyłkowym okresie.

Zakamieniali „brązownicy“ przestraszyli się trochę wystąpień Boya. Jak sam stwierdzał, umniejszano znaczenie jego książki, „sprowadzając ją rozmyślnie do niedyskrecji na temat miłostek wielkich ludzi“. Prof. Pigoń zobaczył na własne oczy „demona sensacji“, rozsiadającego się wszechwładnie na kartach książek Boya. Bez wątpienia — „brązownicy“ (którzy sami zresztą poza plotkę o Mickiewiczu najczęściej nie wychodzili) mieli do takich stwierdzeń pewne podstawy w artykułach Boya, nie zawsze wolnych od anegdotycznych skandalików. Boy posługiwał się czasem bulwersującą metodą, jako motto położona w książce o znamiennym tytule „Plotki, plotki...“: „Ach, czy już pani wie — Moja pani, moja pani“. Wykorzystując gusty drobnomieszczańskie, żerując na namiętności do plotek i skandalów, opatrzył tłumaczenie Karteziusza nadrukiem: „Tylko dla dorosłych“.

Ale — jak już niejednokrotnie stwierdzono — doniosłość kampanii Boya nie polegała przecież na odkryciu paru plotkarskich drobnostek z życia Mickiewicza, lecz — na zaatakowaniu metod badawczych polonistyki uniwersyteckiej, na obnażeniu jaskrawych fałszów, jakich dopuszczała się burżuazyjna mickiewiczologia, na obaleniu reakcyjnej, endeckiej legendy Mickiewicza. W tej kampanii, posiadającej szerokie znaczenie kulturalne, plotka była tylko jednym z mniej lub bardziej skutecznych narzędzi walki. Wyciąganie mickiewiczologii burżuazyjnej za brudne uszy na jasne światło dzienne miało posmak skandalu. I można zaryzykować twierdzenie, że w ówczesnej sytuacji historycznej skandal ten był potrzebny i miał swój pozytywny wydźwięk ideologiczny. Nie można oczywiście przesadzać jego znaczenia. Boy sam pisał z pewnym wahaniem: „Wszystko to skostniało, zakrzepło, odbarwiło się — jak po troszę całe nasze dzieje. Na to, aby w tym stanie rzeczy radykalnie coś zmienić, potrzebna byłaby chyba rewolucja...“, a w 1940 r. we Lwowie stwierdzał: „Nowa rzeczywistość zmusza pod wieloma względami do nowego spojrzenia, uczy myśleć innymi kategoriami“. To słuszne widzenie źródeł rewolucjonizujących naukę nie zawsze było udziałem Boya. Wierzył on jednak, podobnie jak inni mieszczańscy radykałowie, w motoryczną siłę skandalu. Wacław Nałkowski w artykule „Skandale jako czynniki ewolucji“ (1898) pisał: „Każde takie zdemaskowanie, zdyskredytowanie, skandal, w łonie reakcji, jest niezmiernie ważne jako wyłom w tamie; szereg takich skandalów, to szereg wyłomów — zerwanie tamy. Skandale takie nie stanowią w obecnej przełomowej dobie czegoś przypadkowego, wyjątkowego, owszem, stanowią one zasadę, prawo, konieczność ustroju burżuazyjnego, który gnijąc i ratując się reakcją, musi się stroić w maskę obłudy, jej zaś zdzieranie sprowadza skandale“.

W pewnej mierze z podobnego rozumienia historii wypływała i Boyowa koncepcja „ludzi żywych“, a także i to, że w swych badaniach nad Mickiewiczem rzucił się przede wszystkim na sprawy towiańszczyzny i na tajemnicze okoliczności śmierci Mickiewicza. Podkreślam — „w pewnej mierze“, gdyż nie można tu nie uwzględnić elementu zdrowego racjonalizmu Boya, którego drażniły opary świętej tajemnicy otaczającej postać szarlatana.

„Mickiewicz żywy“ to nie był jednak — jak sądzili niektórzy — Mickiewicz w szlafmycy i w rannych pantoflach. Chociaż w koncepcji Boya tkwiły pewne momenty plotkarskiego zainteresowania życiem prywatnym poety, to jednak — ogólnie rzecz biorąc — słuszny był w niej postulat gorącego, żywego stosunku do literatury i jej twórców. Nie bez słuszności Boy pytał: „Kto lepiej służy sprawie pisarzy, czy ten, który im daje nowe życie i odnawia ich przymierze z czytelnikami, czy ten, kto bezmyślnie macha kadzielnicą przed starym, zakurzonym posążkiem?“. Wartość własnego komentarza do Żmichowskiej widział w tym tylko, że „Gabryella“ zacznie być czytana.

Niejednokrotnie już podkreślano, że Boy nie był naukowcem, że nie posługiwał się w pełni skrystalizowanym, konsekwentnym systemem badawczym. Jakie trwałe wartości reprezentuje zatem jego książka o Mickiewiczu?

Wydawca „Czytelnikowskiego“ zbioru, układając do druku kolejność wystąpień Boya, posłużył się zręcznym akcentem: na czele książki umieścił krótki list Boya z 1936 r. do redaktora „Wiadomości literackich“ pt. Gorecki autorem „Śmierci zbrodniarza“. W liście tym w sposób przykładowy ujawnia się słynny zdrowy rozsądek Boya — „człowieka z boku“. Pewien uczony odnalazł wiersz, który chciał zakwalifikować jako nieznany wiersz Mickiewicza. Dla Boya stał się on obiektem pożytecznego ćwiczenia: „Dla jednych utworów wypadnie się uciec do subtelnych hipotez „stylometrycznych“, dla innych wystarczy prosta pamięć“. Wiersz ten Boy swego czasu „zdawał“ w szkole; był to utwór Antoniego Goreckiego.

Boy postępował najczęściej w podobny sposób: empiryzm i racjonalizm, największe osiągnięcia kultury mieszczańskiej w jej postępowym okresie, stosował z dojrzałym mistrzostwem.

Te zalety metodyczne, w połączeniu z głęboko osobistym, gorącym stosunkiem do literatury, wyrastającym na gruncie koncepcji „żywych ludzi“, pozwoliły Boyowi dojrzeć w życiu i twórczości Mickiewicza splot zawiłych sprzeczności, jakich nie umiała i nie chciała zobaczyć upadająca nauka burżuazyjna. „W życiu wielkiego człowieka najpodnioślejszym widowiskiem jest ciągły dramat jego życia, nie zaś sztucznie przez zbyt cnotliwych biografów stworzona harmonia“. „Wszystko nam — mówię o moim pokoleniu — pokazywano w Mickiewiczu jako harmonijne, jako proste, tymczasem wszystko wydaje mi się w nim walką, rozdźwiękiem, paradoksem“. Podkreślanie i analizowanie sprzeczności, nurtujących życie i dzieło Mickiewicza, stanowi podstawowe osiągnięcie pracy Boya, mogące się stać punktem wyjścia dla syntezy marksistowskiej wiedzy o Mickiewiczu.

Boy zdradził duże umiejętności naukowe na polu rozwiązywania tajemnic życiorysu Mickiewicza, gdzie z pasją tropił obłudne zafałszowania i rozbijał tradycyjne świętoszkowstwo; jego interpretacje dzieła literackiego grzeszą jednak najczęściej (poza próbą wyjaśniania pewnych elementów „Pana Tadeusza“ w artykule „Robak wojskowy i cywilny“) zastarzałym tradycjonalizmem, utartą frazeologią. Boy nie potrafił dać w pełni nowatorskiego, rewolucyjnego spojrzenia na wielkiego poetę. Tak np. nie docenił ideologicznego znaczenia spisku filomatów i udziału w nim poety, nie umiał początkowo właściwie postawić sprawy socjalizmu Mickiewicza (dostrzegamy tu zresztą pewną ewolucję poglądów Boya, której uwyraźnienie leżało w ogóle na linii słusznych zamierzeń wydawcy). Nie poświęcał jej zresztą zbyt wielkiej uwagi w wysiłkach nad „odbrązowieniem“ Mickiewicza.

Nie widział możliwości interpretacji dzieła literackiego z jedynego słusznego punktu widzenia — punktu widzenia proletariatu, powtarzając utarte i niedomyślane do końca zarzuty: Z drugiej zaś strony ostro postulował prymat historyzmu w badaniach literackich.

Bystro natomiast Boy dojrzał znaczenie pobytu Mickiewicza w Rosji, gdzie zyskuje on „poczucie“ swojej siły, samowiedzę geniuszu“. Przede wszystkim jednak, co stanowi jego nieprzemijającą zasługę, potrafił w sposób ścisły i udokumentowany podważyć uświęcony religiancką legendą obraz Towiańskiego, ściągnąć go z nieba burżuazyjnej nauki na ziemię racjonalnych badań, ukazać jego małość, szarlatanerię i sprzyt świętoszka. Rozwiał opary świętości wokół towianizmu, orientując czytelników „w wysokich zagadnieniach tej Sprawy Bożej, która, jak widzimy, bywała chwilami Sprawą — Karoliny...“. Atakując zakłamaną legendę Towiańskiego, Boy postawił słuszne postulaty naukowe: zbadać społeczno - obyczajową stronę towianizmu, udział i rolę w nim kobiet.

Rachunek plusów i minusów możnaby jeszcze przedłużać. Byłoby to jednak raczej bezpożyteczne.

Historyczny sens kampanii Boya mieści się w zwięzłej formule: atak na reakcyjne funkcje burżuazyjnej polonistyki uniwersyteckiej, na „trupi, martwy okres poezji“, której nie uczono rozumieć i kochać. Te produkty rozkładu nauki burżuazyjnej mamy dziś daleko za sobą. „Czytelnik“, publikując zbiór artykułów Boya o Mickiewiczu, dobrze przysłużył się odbiorcom: książka bowiem jest doskonałą szkołą racjonalizmu i krytycyzmu. Na oczyszczonym przez nią gruncie staje twardą stopą marksistowska wiedza o największym poecie narodowym.

Maria Janion

*) Tadeusz Boy - Żeleński, O Mickiewiczu, Czytelnik, 1949.

MARIA ŻMIGRODZKA

MICKIEWICZOLOGIA I PRZYCZYNKI

Wśród sprawozdań z dorobku naukowego kończącego się roku Mickiewiczowskiego nie można uniknąć próby zasadniczego przedyskutowania problemu funkcji i wartości przyczynków naukowych w naszej humanistyce. Na obecnym etapie wiedzy historycznej o zawiłej i pełnej sprzeczności epoce romantyzmu, stworzenie syntetycznego a nowatorskiego obrazu potężnej twórczości Mickiewicza przerasta wciąż jeszcze nasze możliwości. Nowatorskie prace, jakie dotychczas się ukazały, wyrąbują dopiero ścieżki w splątanym gąszczu, wyczekując intensywnej pomocy ze strony badań szczegółowych, już nie tylko z zakresu historii literatury, ale socjologii literatury i historii. Żmudna praca nad rekonstrukcją cennego fryzu, nad usunięciem śladów barbarzyńskiej roboty burżuazyjnych „tynkarzy" wspierać się musi o wysiłki legionu pracowników, rozwiązujących szereg zagadnień szczegółowych, bez których wytyczenie syntetycznych rysów interpretacyjnych jest niemożliwością. W tych warunkach prace szczegółowe będą, bo muszą, przeważać ilościowo nad odważnymi próbami syntezy. Czy w nauce naszej jest jednak miejsce na przyczynki?

Przyczynkarstwo jest historycznie jednym z niezawodnych symptomów uwiądu starczego nauki burżuazyjnej. Zwężenie horyzontów naukowych, wzrastająca trudność tworzenia szerokich konstrukcji genetycznych, rezygnacja z interpretacji na rzecz jałowej faktografii, lęk przed rewizją sędziwych tez i tchórzliwy kult autorytetów, oto etapy procesu degrengolady, który wyhodował nędzny, a szeroko rozpowszechniony twór, zwany mieszczańskim „przyczynkiem".

Przezwyciężenie „obłędu przyczynkarstwa" w naszych pracowniach naukowych jest niewątpliwie jednym z pierwszych zabiegów, niezbędnych dla zreformowania nauki polskiej. Nie oznacza to, rzecz prosta, jakoby humanistyka zrezygnować miała z badań źródłowych, wyjaśniających przy pomocy żmudnych poszukiwań okoliczności wiążące się z określonym zjawiskiem kulturalnym. Wskazywaliśmy powyżej na konieczność źródłowych prac szczegółowych, których brak utrudnia rozwiązanie podstawowych problemów historii kultury. O tym jednak, czy mamy w konkretnym wypadku do czynienia z potrzebną i cenną pracą naukową, czy jej nieudolnym przedrzeźnianiem, decyduje perspektywa naukowa „przyczynka".

Badaczowi nie wolno pod grozą absolutnej jałowości pracy tracić z oczu zasadniczego celu jego wysiłków, jakim jest ukazanie i historyczne wyjaśnienie określonego zakresu faktów kulturalnych, określonego etapu twórczej działalności człowieka. Pełna świadomość konsekwencji ustalenia danego stanu faktycznego, jak również i problematyki, o jaką odkrycie to wzbogaca określoną dziedzinę studiów, wreszcie szerokość horyzontów naukowych i jasne widzenie spraw całości, nadaje najskromniejszej w zasięgu i tematyce pracy walor pełnowartościowej rozprawy naukowej.

Wszelkie szanse stania się jedną z najciekawszych publikacji naukowych roku Mickiewiczowskiego posiadała książka Bogdana Zakrzewskiego „Mickiewicz w Wielkopolsce"*). Praca ta wymaga obszerniejszej wzmianki, nie tyle ze względu na jej wartość źródłową, ile raczej ze względu na jej liczne braki, które dla określonego typu twórczości naukowej mają wagę symptomu.

Nurt życia kulturalnego, towarzysząc politycznemu, bił w latach niewoli najżywiej w Kongresówce. W 20-leciu międzywojennym warszawska „centralizacja", majoryzacja życia kulturalnego kraju przez stolicę należała do przysłowiowych lamentów prowincjonalnych. Na tym tle należy bardzo pozytywnie ocenić dążenie do ustalenia specyfiki historycznego rozwoju takich dzielnic, jak Wielkopolska — niejednokrotnie, wskutek małej znajomości odrębnych dróg jej rozwoju, ocenianej według schematu, przyjętego dla Kongresówki, lub też w dużej mierze pomijanej w próbach syntetycznych ujęć dziejów kultury polskiej w okresie porozbiorowym.

Koleje rozwoju historycznego Wielkopolski potoczyły się innymi drogami, niż rozwój b. Kongresówki i b. Galicji. Wielkopolska wcześniej weszła w krąg gospodarczego i kulturalnego oddziaływania kapitalizmu. Specyfika tego typu likwidacji feudalizmu, który Lenin określił jako „pruską drogę kapitalizacji", wytworzyła tam wcześnie mieszczaństwo i inteligencję mieszczańską, współistniejącą z krzepkim kapitalistycznym obszarnictwem. Na tym tle inne oblicze przybrały procesy kulturalne, inaczej kształtowała się recepcja prądów artystycznych. Problem „Mickiewicz w Wielkopolsce" jest zagadnieniem naukowym ogromnie interesującym i dlatego jeszcze, że dotyczy okresu wyjątkowo bujnego rozkwitu życia kulturalnego Wielkopolski. Pierwsza połowa XIX w. przynosi ogromny rozwój czasopiśmiennictwa poznańskiego. Bujnie kwitnie publicystyka polityczna, ścierają się poglądy filarów ziemiańsko - burżuazyjnej konserwy z reprezentantami ugrupowań radykalnych i demokratycznych, niejednokrotnie bliskich tezom socjalizmu utopijnego. W tym kontekście recepcja poezji Mickiewicza w różnych jej ideologicznych etapach stanowi niewątpliwie jeden z bardziej pasjonujących problemów historii literatury. Pobyt Mickiewicza w Wielkopolsce wiąże się z dotychczas jeszcze w pełni nie wyjaśnioną sprawą jego stosunku do powstania. Jak widać z tego pobieżnego przeglądu zagadnień, wiążących się ze sprawą „Mickiewicz a Wielkopolska", jest to temat interesującej pracy, której doniosłość mogłaby przekroczyć zasięg studiów nad Mickiewiczem i rzucić bardzo ciekawe światło na dzieje romantyzmu polskiego, a nawet zrewolucjonizować potoczne poglądy na temat rozwoju kulturalnego Wielkopolski. Jeśli tak się nie stało, jeśli praca Zakrzewskiego jest klasycznym przykładem „przyczynkarstwa", zawiniły tu nie tylko nieprzezwyciężone tradycje polskiej mickiewiczologii, lecz i specyficzny klimat, w jakim powstała książka.

„Mickiewicz w Wielkopolsce", to książka wydana przez Zarząd Miejski w Poznaniu, stanowiąca, jak informuje nadruk, 12-tą już z rzędu pozycję Biblioteki Kroniki miasta Poznania. Niewątpliwie książka ta stanowi dowód ruchliwości i cennych ambicji kulturalnych odnośnych „czynników miarodajnych" Poznania, które kilkanaście już pozycji wydawniczych uruchomiły w trosce o wszechstronne wyjaśnienie historii dzielnicy najmniej dostatecznie zbadanej przez historiografię różnych działów, zwłaszcza zaś przez historię literatury. Omawiany tomik pokazuje jednak charakter prowokujący do dyskusji, charakter imprezy „regionalnej" w mniej chwalebnym znaczeniu tego słowa. Znaczenie jej nie przekracza kulturalnej doniosłości „przewodników", które gromadzą, ewentualnie podają, w interesującym fabularnie sosie, ciekawostki lokalne. Punkt widzenia — „dla większej chwały Poznania" w dużej mierze osłabia wartość naukową publikacji.

„Mickiewicz w Wielkopolsce" Zakrzewskiego jest zbiorkiem kilku rozprawek, spośród których do najważniejszych należą: „U źródeł kultu Mickiewicza w Wielkopolsce", „Mickiewicz wśród studentów wielkopolskich w Berlinie", „W gościnnej Wielkopolsce", „Brzydka kokietka", „Mickiewicz w poznańskim Tygodniku Literackim".

Szkice te nie wyczerpują tematu. Autor, zdając sobie z tego w pełni sprawę, zamieścił w końcowych partiach książki rozdział „Postulaty", w którym wytyczył problematykę szerszych i bardziej wyczerpujących badań nad dziejami kultu Mickiewicza w Wielkopolsce. Na plan pierwszy wysunął problem „Mickiewicz w czasopiśmiennictwie poznańskim", podkreślając jego wagę wobec ogromnego rozwoju czasopiśmiennictwa wielkopolskiego w pierwszej połowie XIX w. Dalej, jako jeden z koniecznych rozdziałów zamierzonej, obszerniejszej pracy typuje rozważenie sprawy przyjęcia utworów Mickiewicza przez krytykę i społeczeństwo poznańskie oraz funkcji, jaką spełniały te utwory nie tylko w życiu literackim, ale wśród szerokich mas czytelników, aż po ową wymarzoną przez wieszcza „strzechę", gdzie zbłądziły prędzej, niż w jakichkolwiek innych regionach dawnej Polski. Piękny ten i pożyteczny program psują niestety dalsze jego punkty, żądające opracowania sprawy kontaktów Mickiewicza z wymienionymi skrzętnie Wielkopolanami. Ludzie, z którymi łączyły Mickiewicza stosunki najróżniejszego autoramentu, zostali tu, wbrew oczywistej prawdzie historycznej, złączeni mechanicznie w „grupę Wielkopolan", jak gdyby ta właśnie cecha rozstrzygała o ich rozmaitych — politycznych, literackich, towarzyskich, czy najzupełniej przelotnych i konwencjonalnych, stosunkach z poetą.

Jeszcze większe zastrzeżenie budzić musi następny punkt naukowego programu autora, w którym żąda on szczegółowego rozważenia zagadnień typu: „Wielkopolska w twórczości Mickiewicza" — lub „opinie Mickiewicza o Wielkopolsce i Wielkopolanach". Planowanie badań tego rodzaju świadczy, że autor bliski jest niebezpieczeństwa stawiania sobie, jako problemu naukowego, sprawy zjadliwie już „przyczynkarskiej" — bezmyślnej rejestracji, ile razy słowo „Wielkopolska" pojawia się w twórczości Mickiewicza.

Rozdział „Postulaty" przedstawia konglomerat słusznych i absurdalnych tez metodologicznych. Obawiać się jednak należy, że słuszne pomysły naukowe pozostać mogą w sferze „postulatów". Sposób rozwiązania problemów poruszanych w opublikowanej pracy Zakrzewskiego nasuwa poważne wątpliwości co do możliwości realizacji wielu poważnych i pięknych zamierzeń.

Jałowość przyczynku wycisnęła piętno na każdej rozprawce książki. A materiał aż prosił się o wnioski.

W pierwszym szkicu rozpracowanie danych, dotyczących subskrypcji na pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza, przy uwzględnieniu szerokiej problematyki historycznej, pozwoliłoby nakreślić topografię kulturalną Wielkopolski, ustalić społeczny zasięg gustów literackich oraz ich historyczne i klasowe uwarunkowanie. Autor unika jednak skrzętnie rozważań, które mogłyby doprowadzić do ogólniejszych wniosków. Fakty cytowane służą mu jako materiał do ustalenia anegdotycznych, biograficznych ciekawostek — o szlachetności jednego Poznaniaka i o wdzięczności Mickiewicza dla Wielkopolan.

Interesującą kartą biografii mickiewiczowskiej jest pobyt poety w Berlinie w r. 1829 i jego kontakty z berlińską studenterią polską, studiującą podówczas z zapałem Hegla. Tu może uwydatniła się najpiękniej wzniosła obojętność autora wobec problematyki historycznej. Interesujące wzmianki o nastrojach politycznych polskich burszów, o ich kontaktach z młodzieżą warszawską, zamieszaną w sprawę spisku koronacyjnego, o walce partii arystokratycznej i demokratycznej, odsunięte zostały na margines. Na plan pierwszy wystąpiła gawęda biograficzna, anegdota o wspólnych ucztach i wzajemnych serdecznościach.

Podobny charakter ma najszerszy rozdział pracy: „W gościnnej Wielkopolsce", omawiający pobyt Mickiewicza w dworach poznańskich w okresie jego niefortunnych prób przedarcia się do wojsk powstańczych. I znów nie wychodzimy poza ramy relacji „przewodnika" o „dębach Mickiewicza" i „pokojach Mickiewicza", w najlepszych zaś wypadkach — poza relacje pamiętnikarskie poznańskich biboszów i swatek.

Wyświetlenie sprawy stosunku Mickiewicza do powstania listopadowego nie jest bynajmniej — choć mielibyśmy prawo oczekiwać tego — centralnym zagadnieniem rozdziału. Autor notuje wprawdzie istniejące wersje, parę z nich zbija, sam jednak nie uważa za potrzebne wysunięcie własnej hipotezy. Nie stara się szukać przyczyn zjawiska, które tyle krwi napsuło biografom poety — i bodaj że nie bezzasadnie, nie daje nawet materiału, który pozwoliłby czytelnikowi snuć hipotezy na własną rękę.

Rozwiązania dostarczyłaby być może — stawiamy tu luźną hipotezę — głęboka analiza środowiska, w którym spędził poeta okres ostatnich miesięcy powstania. Autor nie stawia sobie za zadanie zbadania stosunku do powstania dworów wielkopolskich, których stosunki rodzinne i kontakty z Mickiewiczem omawia aż do zbytku szczegółowo. Dwory te nie musiały pulsować płomienną i porywającą atmosferą uniesienia patriotycznego skoro, mimo sporadycznych wyjątków, dziesiątki młodych, nieobarczonych obowiązkami rodzinnymi, zdolnych do walki, „patriotów" szlacheckich bałaguliło w najlepsze na obiadkach i polowańkach nad granicami borykającej się z przeważającymi siłami wroga Kongresówki. Tylko w tej atmosferze „niewiara w powstanie" była argumentem rozgrzeszającym z przewin wobec narodu, a granica pruska stawała się rzeczywistą przeszkodą.

Kto wie, może ten, ostatni już w życiu Mickiewicza, etap salonowego motylkowania zwichnął drogę obowiązku poety narodowego. Wielki rewolucjonista poezji narodu wydarł się z salonów, przełamał wiekowe tradycje społecznej funkcji literata, zniszczył ciągłość pańskiego mecenatu, wskazał poecie właściwe miejsce służby społecznej. Za ostatni etap życia „roślinnego i zwierzęcego" zapłacił jednak Mickiewicz ciężką zgryzotą i poczuciem winy całego życia.

Tezę powyższą można weryfikować, można ją też obalić. Autor nie tylko jej nie postawił — z czego rzecz prosta nie można mu robić zarzutu — lecz nie pokusił się nawet o zobrazowanie politycznych nastrojów, z jakimi zetknął się poeta w Wielkopolsce. Interesowały autora kontakty towarzyskie poety, jego pozycja salonowa, podkreślał serdeczność poznańskiej gościnności, wskazywał na plany mariażów, jakimi chciano usidlić znakomitego gościa — najistotniejsza problematyka czasu wymknęła mu się niemal całkowicie. Karty książki utrwaliły problematykę pikniku z amorami.

Amory poety, obszernie potraktowane w rozdziale „Brzydka kokietka", przesłoniły również interesujące zjawisko działalności kulturalnej pani Konstancji Łubieńskiej w okresie, gdy amory przestały już być naczelną sprawą jej kontaktów z Mickiewiczem, gdy pod jego wpływem bogata ziemianka staje się „bojową demokratką", szerzącą pismem i czynem radykalne poglądy poety.

Duże zastrzeżenie musi budzić także sposób opracowania ostatniego rozdziału — „Mickiewicz w poznańskim Tygodniku Literackim". Praca ta ma charakter bibliograficzno-rejestracyjny. Autor najczęściej rezygnuje z interpretacji, lub też posługuje się uderzająco naiwnym komentarzem typu anegdotycznego. A szkoda. „Tygodnik Literacki" należy niewątpliwie do najbardziej interesujących radykalnych czasopism tego czasu. Jego oceny znaczenia poezji mickiewiczowskiej, jak również jego stosunek do towianizmu, wymaga dokładnego zbadania i wnikliwej interpretacji.

Najciekawszy jednak materiał naukowy będzie bezpłodny, jeśli w rozpracowaniu go współdziałać będą owocnie ponure tradycje „przyczynkarstwa" i osobliwy patriotyzm regionalny o ambicjach na miarę kroniki familijnej.

MARIA ŻMIGRODZKA

*) Bogdan Zakrzewski, „Mickiewicz w Wielkopolsce", Poznań, 1949. Nakładem Zarządu Miejskiego w Poznaniu. Biblioteka kroniki miasta Poznania, nr 12.

Wielki romantyzm rewolucyjny wybuchał protestem przeciwko zaśniedziałemu i samolubnemu oportunizmowi ówczesnych uprzywilejowanych warstw społecznych. Poeta widział cel życia w walce o wolność i niepodległość swego narodu. Pragnął w tej walce wzbudzać uczucia bezgranicznego poświęcenia i oddania sprawie, wolę bohaterstwa i niezłomnego hartu, przeniknięte najwyższym uspołecznieniem, które spaja w jedno całe życie człowieka z ideą narodową i społeczną. Dążenia te szukają często ujścia w symbolice mistycznej, podobnie jak to się działo nieraz ze społecznymi tęsknotami uciskanych mas ludowych. Poeta sięgał do źródeł i motywów ludowych, rewolucjonizując istniejące formy twórczości poetyckiej i literackiej. — Twórczość Adama Mickiewicza owiana jest do głębi ludowością i tym bardziej bliska staje się dzisiaj masom ludowym.

(Z przemówienia Prezydenta Bolesława Bieruta na uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie).

BOLESŁAW BIERUT

W NUMERZE 5 (236)
tygodnika „W I E Ś"
z dnia 5 lutego 1950 roku

P. I. Kuszner (Knyszew) — Stalinowskie pojęcie narodu a zadania etnografii, **Aleksander Puszkin** „Z Satyr", **Tadeusz Orlewicz** — Lud włoski walczy o Włochy; **Zygmunt Krogulski** — Italia; **Konstanty Grzybowski** — Junkrzy i Monopoliści; **Bronisław Cirlić** — Piewca wsi bułgarskiej; **Bolesław Malisz** — Zagadnienie urbanizacji w Polsce; **Władysław Machejek** — Przy parcelacji; **Maria Olszaniecka** — Edukacja pozytywnego bohatera; **Stefan Treugutt** — Pisarskie kłopoty; **Kazimierz Bartoszyński** — Sztuka pisarska Żeromskiego; **Zofia Szprokoff** — Nowy człowiek; **Marian Gajewski** — Planowanie miast w Z.S.R.R.; **Piotr Chmura** — Rozmowa z robotnikami o filmie „Czarci Żleb"; **Edward Martuszewski** — Scenariusz filmowy; **Marian Minias** — Kadry dla socjalistycznego rolnictwa; **Władysław Ozga** — Przez walkę do zwycięstwa; Korespondencje, Kultura muzyczna, 16 ilustracji, 8 stron.

Maciej Koliba

„Legion Mickiewicza"

Niewielka książeczka Gustawa Kadena: „Legion Mickiewicza"*) mimo swojego popularnego ujęcia, przynosi wiele cennego materiału, który czytelnikowi nie tylko kreśli dzieje „Legionu", nie tylko pokazuje postępową i rewolucyjną ideę Mickiewicza, wyrażającą się w moralnym nakazie brania udziału w walce narodowo - wyzwoleńczej, gdziekolwiek historia daje na to najdrobniejszą szansę — ale ponadto wprowadza nas w cały splot sprzeczności klasowych, jakie się wokół zalążków tej walki wytwarzały. Sprawa „Legionu" była konsekwentnie i zaciekle torpedowana przez emigracyjny obóz arystokratyczny z księciem Adamem Czartoryskim i hrabią Wł. Zamoyskim na czele. Z punktu ich interesów klasowych niebezpieczną była organizująca się jednostka wojskowa, która na fali „Wiosny Ludów" chciała pójść do walki o nowy, demokratyczny porządek w Europie; niebezpieczną była, bo jej organizator stawiał na lud, jako na nową siłę społeczną, jedynie zdolną na tym etapie historii do podjęcia walki z despotyzmem europejskim. Naszej reakcji z czasów ówczesnych dobrze były znane słowa Mickiewicza, rzucone jeszcze w 1847 r., że w momencie, gdy „czasy są pełne nadziei zmian politycznych, jedynym naszym obowiązkiem jest bronić i rozpowszechniać nową ideę... Prawdziwa siła jest w prostym ludzie i od niego wyjdzie iskra w decydującej chwili... Wołanie przyjdzie od ubogich i cierpiących. Nie czekajmy... naszą misją jest wywołać je". **)

Naszej ówczesnej reakcji postawę Mickiewicza odsłoniły w gwałtownym skrócie słowa, które rzucił w twarz papieżowi Piusowi IX: „Wiedz, że duch Boży jest dziś w bluzach paryskiego ludu".

Dzieje „Legionu" stanowią dzisiaj dla nas znakomitą lekcję poglądową, oczywista, w drobnych wymiarach, ale niesłychanie ostro zarysowaną. Gra, jaką wokół „Legionu" rozpętał obóz Czartoryskiego, pokazuje, jaką moralnością kierowała się nasza klasa panująca na emigracji, odsłania jej taktykę, nie rezygnującą z przekupstwa, oszczerstwa, kłamstwa i obłudy, by zlikwidować najmniejszy zarodek ruchu, który solidaryzował się z ludem i demokratyczne zasady chciał przyjąć za swoje.

Arystokracja w pierwszym rzędzie negowała możliwość jakichkolwiek zmian politycznych. Nie chciała o nich po prostu słyszeć. Znamienna jest odpowiedź, jaką autor, „Nieboskiej Komedii" dał Mickiewiczowi tuż na moment przed „Wiosną Ludów": „Nie wierzę w bliskość zmian w Europie, gdy kurs podnosi się na giełdach w Paryżu i Londynie". Przez taki pryzmat hrabia Krasiński oglądał możliwość procesów historycznych.

Gdy w styczniu 1848 r. Mickiewicz zaczyna w Rzymie organizować „Legion", obóz arystokratyczny pragnie mu narzucić własne kierownictwo w osobie hr. Zamoyskiego, oczywiście, by uczynić z „Legionu" narzędzie własnej polityki, by wyrwać broń z ręki późniejszego redaktora „Trybuny Ludów", broń, która niewiadomo jak mogła stać się silna i która, co najgorsze, nie chciała służyć arystokracji, ale właśnie przeciwko niej się obracała.

Gdy arystokracja nie zdołała opanować ruchu od wewnątrz, starała się metodą oszczerstw, intryg dyplomatycznych i przekupstwa zlikwidować „Legion", nie cofając się przed złożeniem na Mickiewicza donosu u rządu francuskiego, że jest on na usługach carskiego gabinetu.

Te zaciekłe ataki „czartoryszczyków" na „Legion" Mickiewicza są dla nas dostatecznym dzisiaj dowodem, że idee „Legionu", które sformułował Mickiewicz, były poważnym etapem w określaniu się świadomości demokratycznej części naszej postępowej emigracji. Mickiewicz, jako redaktor „Trybuny Ludów", sformułował znaczenie walki narodowo-wyzwoleńczej, traktując ją jako konieczny etap do rewolucji socjalnej. W polemice z Considerantem mówi: „Rewolucja lutowa, wstrząsając całą Europą dowiodła solidarności wszystkich ludów: rewolucja ta uogólniła się, stała się światową i dziś grzmi ona od Hiszpanii aż po Kamczatkę. Na pierwsze wejrzenie, trojakiego kształtu, jest ona wszędzie ta sama. Jest ona narodowa u ludów podbitych, które walczą o swą niepodległość, jak we Włoszech, w Polsce, na Węgrzech i u Słowian południowych; jest polityczna u narodów usiłujących obalić trony i przywileje; jest socjalna w republice". W oświetleniu tych zadań zrozumiałą się dla nas staje nienawiść, z jaką nasza arystokratyczna część emigracji zaczęła zwalczać Mickiewicza jako działacza politycznego i organizatora „Legionu", u którego podstaw prócz walki z Austrią leżała idea „rewolucji socjalnej".

MACIEJ KOLIBA

*) Gustaw Kaden, „Legion Mickiewicza". Wydawnictwo Prasa Wojskowa", str. 92.

**) Cytuję za Kadenem.

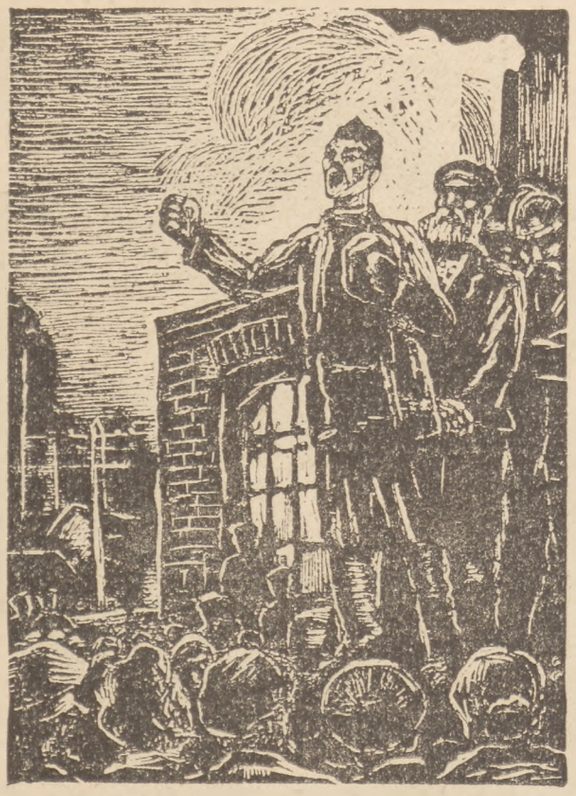

Drzeworyt N. Aleksiejewa do „Matki" Gorkiego.

JAN JELONEK

MOJE ŻYCIE PRZED 25 LATY

Brat starszy szedł do wojska, ja zostałem gospodarzem w domu, gdyż ojca nie mieliśmy już dawno. Zmarł w czasie austriackiej okupacji, w roku 1916.

W czasie, o którym piszę, miałem 16 lat i według zdania brata i matki, nadawałem się już do pracy w kopalni. W domu nie przelewało się, tym bardziej, że brat młodszy uczęszczał do gimnazjum zdala od domu i trzeba było opłacać mu stancję.

Ja również pragnąłem się kształcić, ale gdy ukończyłem powszechną, brak o dla mnie pieniędzy na dalsze kształcenie. Tak zeszło mi dwa lata i przyzwyczaiłem się do pewnej wolności od szkoły poza swobodnym czytaniem różnych książek. To jedno jeszcze w części zaspakajało mój głód wiedzy. Teraz jednak musiało się to skończyć. Miałem już zacząć na siebie zarabiać.

W pobliżu wsi było kilka kopalń węgla — Kazimierz, Juliusz i Klimontów.

W kopalni wówczas był taki ustrój. Zarząd kopalni posiadał własną stałą załogę produkcyjną i biurową. Nazywało się to — „pracować pod państwem" lub „pracować pod Towarzystwem".

W stałej załodze nie było młodocianych. Ażeby dostać się do pracy „pod Towarzystwo", trzeba było mieć ukończone 18 lat i zaświadczenie od lekarza o zupełnie dobrym stanie zdrowia.

Oprócz stałej załogi władze kopalni przyjmowały do prac sezonowych różnych przedsiębiorców, którzy kontraktowo wykonywali pewne prace. Przeważnie były to prace o charakterze inwestycyjnym a szczególnie budowlanym.

Przedsiębiorcy ci zatrudniali różnego rodzaju zbieraninę, która nie mogła być przyjęta do kopalni na stałe. Pracowali tam inwalidzi, starcy, rzemieślnicy sezonowi, kobiety oraz młodociani. Poza tym pracowali tam wszyscy ci, którzy z powodu zbyt jawnie wygłaszanych poglądów politycznych a nie po myśli rządu endeckiego a potem pomajowego nie mogli znaleźć stałej pracy.

Nazywało się to, pracować „pod kontrakciarzem".

Przedsiębiorca taki działał zwykle w ścisłym porozumieniu z zarządem i kierownictwem kopalni. Współdziałanie opierało się często na pokrewieństwie, odświeżane było grzecznościowymi libacjami.

Współpraca zarządu kopalni z przedsiębiorcą była bardzo wygodna dla obydwu stron. Zarząd kopalni mógł w każdej chwili regulować ilość pracowników bez zobowiązania dalszego, zaoszczędzał na deputatach i izolował się od elementów, jak mawiał „wywrotowych". Przedsiębiorca znów, zatrudniając ludzi mniej wydajnych w pracy dołowej, ale przeciążonych pracą w robotach sezonowych oraz młodocianych, zarabiał na nich od 30 do 80 procent w stosunku do zarobku płaconego stałym pracownikom kopalni. Przy zatrudnieniu kilkudziesięciu ludzi, przedsiębiorca taki zarabiał lepiej od niejednego dyrektora kopalni. Nic więc dziwnego, że trzymali się oni kurczowo fraków dyrektorskich, gdyż z ich pomocą mogli dowolnie żyć kosztem najbiedniejszego robotnika.

Ta współpraca kością w gardle stała pracownikom „kontrakciarza", dla których to pariasów przedsiębiorca wychodził jeszcze na „dobroczyńcę", gdyż bez niego byliby bezrobotnymi. Ludzie ci nie mieli żadnych urlopów, bo taki pan przedsiębiorca doskonale pamiętał o terminie zwolnienia pracownika z chwilą gdy dochodził mu rok pracy, aby przypadkiem nie uzyskał prawa do urlopu. — Ja za cztery lata takiej pracy nie uzyskałem ani jednego dnia płatnego urlopu, gdyż zawsze w międzyczasie byłem po kilka tygodni bezrobotny. Dalszą krzywdą naszą był brak ubezpieczeń chorobowych oraz kasy brackiej, które mieli stali pracownicy kopalniowi. Jako sezonowi byliśmy ubezpieczeni tylko od wypadków, ale legitymacji żaden z nas nie posiadał, tylko w razie jakiejś choroby brał kartkę do lekarza. Ale jeśli odważył się chorować obłożnie i zapowiadało się na leżenie w łóżku, był bezapelacyjnie redukowany i pozbawiany wszelkiej opieki.

Otóż w tych warunkach w roku 1925, mając lat tylko 16, musiałem iść do pracy do przedsiębiorcy Jędrzejowskiego, który miał swoje przedsiębiorstwo na kopalni Juliusz. Przedsiębiorstwo to między innymi pracami zajmowało się także i pracami pomocniczymi przy produkcji w kopalni.

Po przyjęciu przydzielono mnie do grupy młodych robotników, którzy zatrudnieni byli przy wywózce miału na zwał.

Normalnie miał węglowy był i jest spalany pod kotłami miejscowej elektrowni, nadwyżki wysyła się do innych elektrowni, mających piece przystosowane do spalania miału. Gdy jednak górnicy natrafiali na taki pokład węglowy, że bardzo się kruszył i dawał dużo miału, wówczas powstawało go za dużo i musiał być gromadzony na zapasie czyli na zwale. Miał ten na zwale często się zapalał i musiał być wówczas okładany wapnem, które tamując dostęp powietrza gasiło pożar. W czasie pożaru wydobywał się bardzo trujący gaz zwany czadem. Miał wywożony był spod sortowni na wagonach do zwału, tu zaś wyładowywano go na koleby i rozwożono po zwale formując nasypy do 3 metrów wysokości.

W czasie suchym i pogodnym z miału wydobywały się tumany czarnego i gęstego pyłu, który wchłaniany był przez robotników i pokrywał ich gęstą powłoką. Pracowałem na tym zwale przez kilka tygodni, ale w żadnym dniu rano nie odpluwałem czystą śliną gdyż nawdychany w czasie dniówki pył węglowy starczał na tyle, aby bez przerwy pluć czarno.

Dniówka rozpoczynała się o godzinie 6-ej rano a kończyła o godzinie 14-ej. Osiem godzin trwaliśmy na zwale, wyładowując miał z wagonu na koleby lub rozwożąc go w kolebach po zwale. Gdy wiał wiatr zachodni, to rozwożący miał byli zasypywani kurzem wydobywającym się przy ładowaniu koleb. Zaś gdy wiał wiatr wschodni to cierpieli znów ci, co wyładowywali z wagonów na koleby. Gdy była cisza i skwar to pchaliśmy koleby w delikatnym pyle tak rozdrobnionym przez deptanie nogami, że zdawał się zawiesiną w powietrzu.

Dozorca stał na boku lub chodził z końca w koniec i coraz to krzyczał.

— Hej, wy tam gówniarze, nie lenić się. Prędzej się poruszajcie, bo wagon jest potrzebny. Darmozjady, ino by się to wałęsało i za darmo by pieniądze chcieli brać.

Było nawet za co pracować. Ja miałem wówczas 1 zł. za dniówkę. Robotnik w kopalni miał dniówkę ponad trzy złote zaś kobiety ponad dwa złote. Robiliśmy za robotników dorosłych a płacono nam jak dzieciom. Po dwóch tygodniach uzyskałem poprawę 10 groszy. Premią za dobrą pracę były ciągłe wyzwiska dozorcy w takiej formie jak wyżej. Była to zresztą forma najdelikatniejsza, bo gdy widział, że idzie na zwał jaki sztygar czy — czego Boże nie daj — zawiadowca, to nasz dozorca cierpł cały i w ciągłej obawie o swoją „posadę" wydziwiał nam na całego, używając słów najbardziej soczystych. Nie byliśmy wówczas dla niego ludźmi, tylko niewolnikami.

Użalić się nie było przed kim. Szukanie opieki było daremne. Związek Górników nie uważał za konieczne nami się zajmować, bo myśmy nie byli pracownikami „Towarzystwa". Partia Socjalistyczna, ówczesna, działająca przy kopalni nie chciała się narażać zarządowi kopalni. Zresztą nie byliśmy wielką gromadą. O jakichś tam kilkudziesięciu ludzi nie warto było użerać się poważnej organizacji.

Niektóre koleby chodziły bardzo ciężko z powodu wyrobienia panewek lub niesmarowania. Gdyśmy na to narzekali, dozorca dogadywał.

— Trutnie, psiakrew, niby do roboty idzie a leżeć by chciał. Koleba mu ciężko chodzi. Kup sobie psiakrew nową, jak ci ta ciężko idzie.

Łaźnia nam nie przysługiwała, więc każdodziennie musieliśmy się myć w domu. Gdy było ciepło, szliśmy do rzeki, ale to niewiele pomagało, gdyż bez mydła i ciepłej wody nie dało się wymyć głowy i rąk, miał i pył mocno wtarł się w skórę. Po kąpieli w rzece ubieraliśmy się w tę samą bieliznę i w to samo ubranie. Byliśmy wykąpani, ale wcale nie czyści.

Pierwsze dni mojej pracy nie przeszły mi wesoło. Nie byłem przyzwyczajony do systematycznej i długotrwałej pracy. Bolały ręce, nogi i całe ciało. Drażnił kurz i bolały oczy. Ale już najbardziej drażnił mnie dozorca. Nie byłem lalusiem i uliczne słownictwo było mi znane, ale takie ciągłe wydziwianie i to bez wyraźnego powodu działało na mnie bardzo przygnębiająco. Nie byłem do tego w domu, ani w koleżeństwie na wsi przyzwyczajony.

Marzyłem nieraz o tym, jakby się wydobyć z tej niewolniczej pracy i zasiąść w biurze. Był to na ówczesne czasy szczyt marzeń. Nie dlatego, żeby pisarek w biurze musiał mieć wysokie wykształcenie, nie, moje 7 klas powszechniaka w zupełności by mi wystarczyło. Ale tam trzeba było mieć „plecy". Kto na kopalnię był przyjęty do biura jako urzędnik, ten mógł być pewny, że o ile go nie zredukują, to przynajmniej nie zdegradują na pracownika fizycznego. Jeśliś jednak bracie przyjęty został na robotnika, to o awansie już nie mogłeś marzyć. Zamknięta kasta urzędnicza nie dopuszczała do swojego grona robociarzy.

Zarząd kopalni, bardzo niechętnie bowiem patrzył na robotników wybijających się inteligencją lub przedsiębiorczością. Bardzo nie przychylnym okiem spoglądał na narastającą, miejscową inteligencję. Wolał opierać się na inteligencji z miasta lub z dworów aniżeli na dorastającej spośród młodzieży robotniczej. Gdy któryś z młodych pracowników miejscowych przerastał swoich towarzyszy inteligencją i na przykład na zebraniach robotniczych odważał się przemawiać nie po myśli dyrekcji, uznawany zostawał za komunistę. Wcześniej czy później znajdował się powód dla którego przy zachowaniu pozorów praworządności zostawał zredukowany.

W tym czasie, kiedy zaczynałem pracować, redukcje nie były jeszcze w takim nasileniu, gdyż robotnik i górnik był kopalni ogromnie potrzebny. Dobra koniunktura światowa sprzyjała zapotrzebowaniu na węgiel. To nic, że państwo dopłacało do eksportu — grunt, że kapitaliści mogli osiągać pełne zyski.

Inteligentniejszymi robotnikami w tym czasie jeszcze się nie przejmowano i nie spostrzegano ich. Kolega mój, dzisiaj już nieboszczyk, Feliks Kulczycki, miał kilka klas gimnazjalnych, ale ponieważ ojciec mu umarł, więc musiał iść do pracy w kopalni zamiast uczyć się dalej. Na ogromną prośbę jego matki, zawiadowca kopalni przyjął chłopaka ale za robotnika. To nic, że Felek nie miał zdrowia do pracy fizycznej i że był bardzo zdolny i mógł sprostać pracy w biurze, ważniejsze było, że pochodził z rodziny biednego szewca, u którego dawniej urzędnicy obuwie sobie robili... Jakżeby teraz syn szewca mógł zająć miejsce przy biurku?

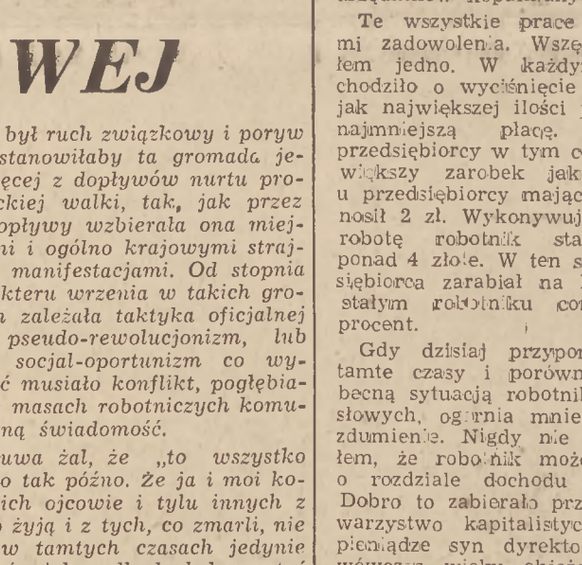

Drzeworyt N. Aleksiejewa do „Matki" Gorkiego.

Feliks Kulczycki po kilku latach pracy w kopalni wciąż jako robotnik, używany jednak do odpowiedzialnych prac w ekspedycji, umarł wreszcie na powszechną przed wojną gruźlicę płuc.. Nie dano mu lepszej płacy za pracę, nie znalazły się wczasy.

Ja trochę krócej pracowałem od Felka i w porę uzyskałem „cudem" leczenie w sanatorium w Bystrej, mogłem dlatego przeżyć te „błogosławione" czasy i dzisiaj mogę o nich napisać.

Nie pracowałem długo w tej pierwszej kopalni. Zmieniałem pracę dość często. Dzięki protekcji dostałem się później do ekspedycji jako chłopak do telefonu. Nie długo tam byłem, bo przepisy oszczędnościowe dyrektora Wojewódzkiego skasowały to stanowisko. Przeszedłem więc do drugiego przedsiębiorcy — Przybylskiego. Pracowałem u niego na cegielni w Maczkach, na placu w Kazimierzu przy różnych robotach i z różnymi ludźmi. Kiedy jednak przedsiębiorca zapragnął nas wydzierżawić do Chemicznej Fabryki „Strem" dla wyczyszczenia cuchnących zbiorników (bez żadnej dopłaty), rzuciłem robotę.

Przeniosłem się później z powrotem na kopalnię Juliusz, gdzie pracowałem przy wywózce węgla na zwał, obieraniu kamienia na sortowni, ładowaniu węgla na wagony, w ekspedycji kopalniowej itp. pracach. Wreszcie w roku 1930 pracowałem już jako stary pracownik, nosząc listy z poczty dla urzędników kopalnianych.

Te wszystkie prace nie dawały mi zadowolenia. Wszędzie widziałem jedno. W każdym wypadku chodziło o wyciśnięcie z robotnika jak największej ilości pracy za jak najmniejszą płacę. Szczególnie przedsiębiorcy w tym celowali. Największy zarobek jaki uzyskałem u przedsiębiorcy mając lat 20, wynosił 2 zł. Wykonywujący tę samą robotę robotnik stały zarabiał ponad 4 złote. W ten sposób przedsiębiorca zarabiał na każdym niestałym robotniku conajmniej 50 procent.

Gdy dzisiaj przypominam sobie tamte czasy i porównywuję z obecną sytuacją robotników przemysłowych, ogarnia mnie wzrastające zdumienie. Nigdy nie przypuszczałem, że robotnik może decydować o rozdziale dochodu narodowego. Dobro to zabierało przed laty „Towarzystwo kapitalistyczne". Za te pieniądze syn dyrektora w moim wówczas wieku objeżdżał Niemcy, Francję i Włochy, przysyłając kartki z roszkosznej podróży. Jako listonosz nosiłem te kartki i listy do jego rodziców. Nie żałowali na jego podróże tysięcy złotych, ale gdy służąca urwała parę jabłek w sadzie, została bezapelacyjnie wyrzucona z pracy jako „złodziejka".

Szkoda, że ten dyrektor i jemu podobni nie dożyli tej chwili i nie widzą jak dziś robotnicy z kopalni Juliusz wyjeżdżają na wczasy pracownicze. Jak dzieci tych robotników zamiast chodzić usmarkane, mile spędzają czas we wzorowo prowadzonym przedszkolu w Pekinie. Napewno by im się żółci ulało, że dzisiaj górnik może uzyskać 3 tygodnie urlopu, premię kwartalną za dobrą pracę, lub być odznaczony za wysiłek nad odbudową ojczyzny.

Narzekałby na rozrzutność, gdyby wiedział, że kopalnia prowadzi zupełnie bezpłatną szkołę górniczą, właśnie dla synów robotniczych. Do pasji by go doprowadził fakt przeszkalania uzdolnionych pracowników na specjalnych kursach i przesuwania ich na stanowiska kierownicze. A już na pewno dostałby szoku nerwowego gdyby widział, że jego robotnicy wprowadzają się do pięknych domów, w których zajmują po trzy pokoje i kuchnię wraz ze wszelkimi wygodami.

Dzisiaj, gdy nie pracuję na kopalni ale nadal mieszkam przy niej i patrzę na przemiany, jakie powstały dzięki nowemu ustrojowi, gdy patrzę jak wszyscy kroczymy do jaśniejszego jutra dzięki wytężonej współpracy rządu robotniczo-chłopskiego z narodem, odczuwam radość i... żal, że to wszystko przyszło tak późno. Że ja i moi koledzy, ich ojcowie i tylu innych z tych, co żyją i z tych, co zmarli, nie mogli w tamtych czasach jedynie o ćwierć wieku odległych, korzystać z tych wszystkich dobrodziejstw, jakie zostały dzisiaj udostępnione i jakie się umasawia.

Jan Jelonek

PIOTR CHMURA

BEZ OBRAZU WALKI KLASOWEJ

„MOJE ŻYCIE PRZED 25 LATY" stanowi jakby fragment pamiętnika, fragment wspomnienia o minionym życiu.

Napisany teraz przez 40-letniego autora ukazuje jego sytuację społeczną, kiedy miał lat 16. Syn chłopski musi w r. 1925 szukać pracy poza domem, idzie do pobliskiej kopalni, staje się robotnikiem na kilka lat, doświadcza bezpośrednio sprzeczności między społeczną produkcją, a kapitalistycznym przywłaszczeniem. I to doświadczenie bezpośrednie — wydaje się — pobudziło autora do odnotowania go, jako dokumentu o znaczeniu socjograficznym. Oto fragment autobiografii, który powie wam co, to jest kapitalizm.

I... jak czytelnik mógł się z lektury przekonać — Jelonek nie pokazuje, co to jest kapitalizm. Paczy i fałszuje prawdę o kapitalizmie.

Ten typ paczenia i fałszowania prawdy o minionym okresie własnego życia zasługuje na szczegółową analizę, wskazuje bowiem, jak trudna jest samokrytyka w klasach pośrednich, jak bardzo trzeba pomagać tym nawet zdolniejszym i społecznie użyteczniejszym, którzy z klas pośrednich próbują wydźwignąć się na pozycję szczerego sojusznika klasy robotniczej.

„Sprzeczność pomiędzy społeczną produkcją a kapitalistycznym przywłaszczeniem — pisał Engels — występuje na jaw jako przeciwieństwo między proletariatem a burżuazją".

U Jelonka tego przeciwieństwa nie ma. Na to miejsce podstawił obraz, który temu przeciwieństwu między proletariatem a burżuazją zaprzecza. Pokazał bowiem kapitalistów panujących i wyzyskujących z jednej strony, z drugiej robotników, wyzyskiwanych i uległych — razem jako całość „ograniczoną".

Nie w tym rzecz, że 16-to i 20-letni Jelonek, będąc robotnikiem, nie miał wówczas proletariackiej świadomości klasowej. To co napisał nie jest dziennikiem z przed 25 lat. Jest wspomnieniem i oceną po 25 latach! Wydaną w piątym roku Polski Ludowej.

Co innego znaczy powiedzieć: ja wówczas — będąc robotnikiem — nie walczyłem, ale inni walczyli, a co innego kiedy się i teraz tego nie mówi.

Co innego, kiedy wyzna się, że wówczas „marzyłem o tym, jakby się wydostać z tej niewolniczej pracy i zasiąść w biurze", a co innego, kiedy się i teraz powiada, że „był to na ówczesne czasy szczyt marzeń".

Oto, jak niknie w obrazie historycznym przeciwieństwo między proletariatem a burżuazją, oto jak zaciera je auto-biograficzny dokument.

Na początku ciekawie i trafnie charakteryzuje Jelonek kapitalistyczną technikę wyzysku, terroru i „obłaskawień".

Państwowe przedsiębiorstwo płaciło więcej niż prywatne

Jak wyższa stawka miała kusić, tak terror zmuszać do oportunizmu, elementy wywrotowe były bowiem bezwzględnie rugowane. Przesuwały się do przedsiębiorstw prywatnych, gdzie między jeszcze większym wyzyskiem a widmem bezrobocia... kapitulowały ostatecznie? Na to była obliczona ta taktyka zmowy kapitalistycznej. Ale Jelonek na działaniu tej taktyki zamknął obraz rzeczywistości.

Tylko ona występuje w jego obrazie. I Jelonek sugeruje jej pełną skuteczność.

„Gdyby któryś z robotników spróbował zbuntować się... zostałby wylany na łeb. Pracy by nigdzie nie dostał, a przedsiębiorca zawsze na jego miejsce znalazłby nowego".

Znaczy to, że było cicho, jak makiem zasiał. Oczywista nieprawda. Oczywista sprzeczność, w którą wikła się Jelonek, pisząc o wywrotowcach w państwowych przedsiębiorstwach, na wyższej „pensji" i o ich braku u „kontrakciarzy", gdzie wyzysk jeszcze bardziej się wzmagał i gdzie jego perfidia odsłaniała zmowę prywatnego kapitalisty z burżuazyjnym rządem.

Realizm szczegółów we wspomnieniu Jelonka zagęszcza wrażenie potworności i ...potęgi kapitalizmu. Jednostronnie uwypukla ją autor i przez wyliczanie stawek, dających obraz cynicznego wyzysku młodocianych i przez męki w zatruwających organizm warunkach pracy i przez obrazy poniżania godności ludzkiej robotników. Oto jak było źle, oto jak nie było wyjścia przez walkę! „Dialektyka" jaką zastosował Jelonek w przedstawieniu sytuacji robotników przed 25 laty spełzła na pozycje drobnomieszczańskiej interpretacji. Przy nienawiści i zazdrości szukanie dróg dla wzniesienia się na wyższe szczeble drabiny społecznej, jaką wytwarzała burżuazja.

Nie buntowano się, żeby na łeb z pracy nie wylecieć. To minimum. Pogardzana klasa robotnicza (podział na pracę fizyczną i umysłową) marzyła „aby się wydobyć z tej niewolniczej pracy i zasiąść w biurze". „Był to na ówczesne czasy szczyt marzeń".

Oto, jak Jelonek nie może zdobyć się na „samokrytykę". Była to jego własna droga a on po latach nie potrafi w niej dojrzeć odchylenia od drogi proletariatu, odchylenia ku drobnomieszczańskiemu oportunizmowi, który uznaje burżuazyjny ustrój, podziwia go i zazdrości, marząc o odwecie w dosłownym znaczeniu. Być poza produkcją i mieć wygody i przyjemności— z tą różnicą, że w mniejszym formacie, do czego ogranicza mniejsza śmiałość klasowa i mniejsze doświadczenie wyzysku.

„Gdy dzisiaj przypominam sobie tamte czasy — pisze Jelonek — i porównuje z obecną sytuacją robotników przemysłowych, ogarnia mnie wzrastające zdumienie. Nigdy nie przypuszczałem, że robotnik może decydować o rozdziale dochodu narodowego. Dobro to zabierało przed laty Towarzystwo kapitalistyczne".

Teraz się jeszcze zdumiewa, teraz jeszcze trudno mu to pojąć, dlatego kiedy opisuje robotników w latach 1925 — 30 nie widzi treści i siły przeciwieństwa między proletariatem ówczesnym a burżuazją, tej treści i tej siły przeciwieństwa, z których jak kość z kości wyrosła konsekwentnie poprzez rewolucję dyktatura proletariatu i w zakresie jej władzy socjalistyczny rozdział dochodu narodowego.

Nie widzi pełnego obrazu rzeczywistości, jaki go otaczał, kiedy miał 16 lat; strajków, wystąpień, konspiracyjnej roboty, ulotek, dyskusji, aresztowań i to w najbliższym otoczeniu. Pracował w przedsiębiorstwie przykopalnianym, gdzie w okolicy były 3 kopalnie i kilka innych jeszcze przedsiębiorstw. I nic, nic? Wówczas omijał tę drogę walki i poświęcenia. Izolował świadomość od niepokojących jego sumienie wydarzeń. Pogrążał je w niepamięci. Dziś dlatego trudno je przypomnieć w szczegółach.

Ale Jelonek nie mówi, jak bardzo żałuje, że ich nie pamięta, nie mówi, że były, tylko on w nich nie uczestniczył.

Żal powinien mieć do siebie za to, że teraz jeszcze nie rozumie pełnej prawdy o własnej przeszłości, którą opisuje, że spacza obraz rzeczywistości społecznej, w jakiej się przed laty znajdywał, ukrywa i fałszuje rolę klasy robotniczej. „Związek Górników — pisze nie uważał za konieczne nami się zajmować, bo myśmy nie byli pracownikami „Towarzystwa". Partia Socjalistyczna, ówczesna, działająca przy kopalni nie chciała się narażać zarządowi kopalni. Zresztą nie byliśmy wielką gromadą. O jakichś tam kilkudziesięciu ludzi nie warto było użerać się poważnej organizacji".

Jelonek nie rozumie, że los jego najbliższej „niewielkiej gromady" zależał nie od patronatu Związku Górników i partii socjalistycznej ale od tego czy ta gromada zdobyła się na stworzenie koła związkowego i partyjnego.

Jeśli był ruch związkowy i poryw partii stanowiłaby ta gromada jeden więcej z dopływów nurtu proletariackiej walki, tak, jak przez inne dopływy wzbierała ona miejscowymi i ogólno krajowymi strajkami i manifestacjami. Od stopnia i charakteru wrzenia w takich gromadach zależała taktyka oficjalnej PPS: pseudo-rewolucjonizm, lub jawny socjal-oportunizm co wytwarzać musiało konflikt, pogłębiający w masach robotniczych komunistyczną świadomość.

Odczuwa żal, że „to wszystko przyszło tak późno. Że ja i moi koledzy, ich ojcowie i tylu innych z tych co żyją i z tych, co zmarli, nie mogli w tamtych czasach jedynie o ćwierć wieku odległych korzystać z tych wszystkich dobrodziejstw, jakie zostały dzisiaj udostępnione i jakie się umasawia". A któż to zdziałał? Pan Bóg? Wcześniej? Dowolnie wcześniej? Za czyjąż to przyczyną mogło nastąpić? Za przyczyną walczącego proletariatu, rzucającego w walkę z kapitalistami ofiarność i życie tysięcy i milionów.

Za przyczyną rozpowszechniania się jego rewolucyjnej teorii, rośnięcia jego rewolucyjnej partii, za przyczyną jego strategii i taktyki w w bojach z burżuazją w warunkach straszliwie trudnych acz zapowiadających w rosnących sprzecznościach kapitalizmu szansę na moment zwycięskiej rewolucji.

Żal powinien mieć Jelonek do siebie, chytrego wówczas chłopka, za to, że on i ci inni, jemu podobni, nie weszli na jedyną drogę przyśpieszenia sprawiedliwości społecznej — na drogę walki z kapitalizmem i wrastania w rewolucyjną świadomość proletariatu.

Taki jedynie żal upoważniałby do ukazania ludziom własnego losu. Taki bowiem żal dałby prawdę o źródłach tragiczności osobistego losu. Uczyłby i przekonywał ludzi o tem, że tragiczność wytwarzała nie jednostronnie tylko maszyneria ucisku kapitalistycznego ale również brak przeciwieństwa, wyrażonego w walce z tym uciskiem.

Uczyłby i przekonywał, że jedyny wzór życia, przezwyciężający tragizm, dali ci, co tę walkę i świadomość rewolucyjną proletariatu nieśli wówczas, kiedy przeciw nim błądzący po manowcach drobnomieszczańskich marzeń i złudzeń przez to wzmacniali siłę ucisku i panowania burżuazji.

Uczyłby dlatego i przekonywał ludzi, że to czego brakło w ich przeszłości — walki i świadomości klasowej, — osiągnąć tym usilniej należy dziś.

PIOTR CHMURA

JÓZEF POGAN

SYLWETKI

W PAŃSTWOWEJ SZKOLE PRACY SPOŁECZNEJ W KATOWICACH

„Niezwykli" słuchacze—powiedział o nich Min. Skrzeszewski. Rzeczywiście niezwykli, odmienni od tych uczniów, którzy zaraz w młodości przechodzą ze szkoły powszechnej do gimnazjum. Słuchacze P.S.P.S. po ukończeniu szkoły powszechnej — oprócz wyjątków — zamiast do gimnazjum, „poszli w świat", jak się to mówi, a właściwie do nikąd. Szli do służby u bogaczy za łyżkę strawy; do dworu za 50 groszy dziennie; do podmiejskich plantatorów warzyw, by tam od 3 godziny przed ranem do 11 przed północą harować, jak najgorsze bydle; do „wielkich pań" w mieście piastować dzieci, prać, gotować... Gdziekolwiek ich los rzucił — wszędzie jednakowa dola pogardzonego człeka: jałowa kapusta z ziemniakami, plus legowisko w chlewie, na pryczy u wiejskiego bogacza; razy lagą po grzbiecie od karbowego we dworze; brutalne pomiatanie i wyzysk przez mieszczan... Niektórzy wracali do rodziców powiększając wieśniaczą nędzę; niektórzy łazili daremnie jak głodne, wałęsające się psiska od fabryki do kopalni za pracą; inni znów, (zwłaszcza z tych w miastach służących) z trudem uchronili się od wszelakiej demoralizacji i rozpusty. Bo pamiętamy wypadki, że niektórzy zostali nawet „ulicznikami i ulicznicami". Dla chłopca treścią życia stawały się: szyba wystawowa, okradanie przechodniów i nocleg pod mostem lub w areszcie policyjnym; dla dziewczęcia planty w nocy. Policja urządzała obławy, sądy karały, księża krzyczeli z ambon o „wielkiej rozpuście", panowie o „strasznym moralnym upadku chamstwa". Pamiętamy to i pytamy: któż jak nie zły ustrój społeczny włożył do ręki nóż ulicznikowi i wydał tzw. „czarną książkę" ulicznicy?! Sprawcy tego krzyczeli głośno, potępiali, karali... Niestety, nawracanie krzykami, kropidłem i pałką policyjną nie odnosiło skutku, odbijając się bezustannym echem: — „Antek, gdzieś społ?! — Pod mostem! — „Widziałem Mańkę pijaną, gdy ją prowadził stróż"... itd.

* * *

Habaj Władysław jest synem wyrobnika rolnego ze wsi Chojnik, powiatu tarnowskiego. Rodzice pragnęli go wykształcić ,więc starali się jak mogli, by ukończył szkołę powszechną. Ale dalej nie podołali go kształcić. Kazali mu pasać krowy. „Póki słabszy, bo gdy dorośnie, to i u bogaczy czy we dworze może zarabiać, albo pójdzie gdzieś do fabryki w mieście i będzie jakoś żył!" Władek jednak „zbuntował się" i uciekł od rodziców. Po prostu od krów z pastwiska. Od krów do krów, ale przynajmniej pod miasto Tarnów, gdzie za ciężką pracę u podmiejskiego gospodarza w Strusinie dostawał łyżkę strawy i możliwość chodzenia do szkoły. Zdał egzamin do II-giej klasy gimnazjalnej i przez jakiś czas „pchał biedę", ciągnąc zarazem naukę. Nie długo jednak, bo „służba, to psu drużba" — jak mówi wiejskie przysłowie. Odszedł z niej zarabiając na utrzymanie i opłaty szkolne korepetycjami. W najcięższych warunkach życiowych przetrwał tak przez dwa lata i wreszcie przerwał naukę poszukując jakiejś możliwej pracy. Po długich kołataniach otrzymał ją w fabryce sztucznych nawozów w Mościcach. Wtedy znów wrócił na ławę szkolną. Lecz nie na długo, bo oto za lewicową działalność w TUR-ze wydalono go z gimnazjum, a następnie i z pracy. Młodemu studentowi - socjaliście „otwarła się droga w świat", lecz na tułactwo, a nie do ludzkiego życia. Nie udał się w nią zaraz. Nie miał sił. Zdruzgotany moralnie i fizycznie, zachorował ciężko na dłuższy czas. A potem wyjechał do Zakopanego, gdzie u chłopów - górali udzielaniem lekcji zarabiał na mieszkanie i skromne utrzymanie. To umożliwiło mu ukończenie gimnazjum.

Po otrzymaniu matury Habas Władysław kształcił młodzież góralską przez dwa lata, wpajając w nią socjalistyczną ideologię. Zostaje też redaktorem miesięcznika „Młody Taternik". Lecz chęć zdobycia wyższej nauki pcha go dalej. Toteż w roku 1935 wyjeżdża do Warszawy. Otrzymanie posady w Instytucie Geograficznym umożliwiło mu wstąpienie na Uniwersytet.

Lata hitlerowskiej okupacji były dla Habasa okresem niezmordowanej pracy tak przeciwko obcemu jak i rodzimemu wrogowi. Najpierw staje na czele Obrony Cywilnej miasta Warszawy na VIII Komisariat, oraz pełni funkcję opiekuna społecznego ludności polskiej na Pradze. Później organizuje ruch oporu przeciwko najeźdźcom. Własne mieszkanie w Warszawie przy ul. Poselskiej 36 oddał na biura i zebrania konspiracyjne.

W roku 1943 Habas z polecenia władz konspiracyjnych udaje się w okolice Tarnowa i organizuje Oddziały Armii Ludowej.

W Wyzwolonej Polsce Habas dopiero zakasał rękawy do pracy społecznej. W Pomorskiej Grupie Operacyjnej organizuje życie Pomorza i Gdańska; następnie przybywa do Katowic, gdzie wraz z innymi działaczami organizuje Tymczasowy Zarząd Państwowy, Związek Zawodowy Pracowników Państwowych (prezes koła i członek Zarządu Okręgowego) później znów Uniwersytet Powszechny TUR-u. Pracuje też żywo podczas Referendum Głosowania Ludowego i Wyborów Sejmowych, w organizowaniu szkolnictwa, w partii politycznej itd.

Długa i ciężka doprawdy jest droga od chaty wiejskiego biedaka do dyrektora szkoły. Ta droga — to istna Golgota wielu, wielu obecnych chłopsko - robotniczych działaczy. Zwykłym uczniom gimnazjów i liceów trudno mieć o niej należyte wyobrażenie. Znają ją tylko ci „niezwykli" w szkołach dla dorosłych, a zwłaszcza w szkołach Pracy Społecznej. Wąsaty słuchacz, czy „oczepiona" słuchaczka pamiętają dobrze jak to było za sanacji. Choćby np. Cichoń Tadeusz z III semestru. Liczy obecnie 33 lat. Żonaty już. Ojciec jego zupełny analfabeta, zarabiał na utrzymanie krawiectwem w Wadowicach. Żył suchym chlebem, czarną kawą, „aby choć jedno dziecko wyszkolić, by miało lżejszy żywot". Niestety, nie udało się wykuć dla syna tego „lżejszego żywota". Zachorował, więc młody Tadeusz ukończywszy zaledwie szkołę powszechną, zmuszony był iść do pracy fizycznej na kolei.

— Ciężko było — wzdycha Cichoń. — A jeszcze ciężej, gdy zostałem bezrobotnym.

— Czy buntowaliście się przeciwko złu społecznemu? — pytam.

— Rzeczywiście. Mimo, iż lud Wadowic był pod wpływem klasztoru Franciszkanów i panowała straszna dewocja i zacofanie, to jednak nie brak też było i komunistów — opowiada Cichoń. — Rekrutowali się właśnie najwięcej z bezrobotnych i rolnych wyrobników. Ja też do tych należałem. Policja prześladowała mię i aresztowała. W czasie wojny dostałem się do Anglii i brałem udział w kampanii afrykańskiej. Zwiedziłem Palestynę, Syrię, Egipt, Południową Afrykę i inne kraje murzyńskie. Widziałem na każdym kroku żebrzących Murzynów, z których angielscy dygnitarze często urządzali sobie zabawki: z przypływającego do brzegu okrętu rzucali do wody drobne monety, a Murzyni skakali w wodę nurkując za tymi ochłapami. Często też spotykałem Murzynów ciągnących riksze. Murzyn pędzi, dysze, wywiesza język, a siedzący w rikszy pijany dygnitarz okłada go laską, jak najgorsze bydle.

— Ja też widziałem riksze — wspomniałem.

— Gdzie?

— W Polsce.

— Riksze w Polsce...? — spojrzał na mnie z wyrazem ogromnego zdziwienia. — Niemożliwe.

— Tak. Widziałem i to często. Czasem nawet ja sam byłem w roli Murzyna, czasem w roli popędzającego dygnitarza.

Cichoń wytrzeszczył oczy: — Jakiś kawał...

— Wcale nie kawał — odrzekłem. — W przedwojennej Polsce większość biednych chłopów była istnymi Murzynami. Riksza, czy wózek z gnojem — wszystko jedno. Nie było pieniędzy na najem koni, bogacze żądali wielkiego odrobku, więc co pośledniejsza biedota zaprzęgała się do wózków ze zbożem, z ziemniakami, z gnojem itp. Chłop ciągnął z przodu, baba z dziećmi pchali z tyłu, lub na odwrót: baba ciągnęła, a chłop z dziećmi popychali. A pod pagórek cała rodzina upadała na kolana. Czy wielka istniała różnica między nimi, a zaprzężonymi do rikszy Murzynami?

— Oczywiście, trafne porównanie. Czy to w jarzmie obcego, czy rodzimego kapitału, człowiek pracy zawsze jest niewolnikiem i bydlęciem.

Cichoń przyznał, że on też widział w Polsce „riksze". On sam choć bezpośrednio nie zaprzęgał się do niej, ale pośrednio odczuwał gniotący jej ciężar. Ale obecnie ta „polska riksza" już jest poza nim. Cichoń obecnie pracuje w Urzędzie Rewizyjnym w Katowicach i żyje po ludzku. To już pewien awans. Dalej kształci się w szkole. Drugi awans. Poraz trzeci zaawansuje po ukończeniu szkoły. A potem...? — może awansować dalej. W Polsce Ludowej droga do życia i awansu społecznego dla każdego stoi otworem.

— Autor „Ugorów" mówi o polskiej rikszy z gnojem — usłyszałem obok żartobliwy dziewczęcy głos (było to w czasie pauzy). — U licha, skądże mię tu znają? — szepnąłem mimowoli.

— Znamy pana, znamy z fotografii we „Wsi" w „Ogniwach" i innych pismach.

Zastanowiło mię nie to, że mię poznali z zamieszczonych fotografii w pismach, lecz to, że właśnie te pisma czytają. Zwróciłem się do owej uśmiechniętej uczennicy i na żart — żartem odpowiedziałem.

— Gdyby przed wojną w Polsce był zwyczaj wozić w rikszy dygnitarzy, zapewne byłbym woził ojczulka pani, bo mi się wydaje, że pani jest córką jakiegoś burżujka.

— Grubo się pan myli — odrzekła już poważnie. — Jestem córką większego biedaka, niż pan. Mój ojciec miał tylko jeden mórg ziemi w kieleckim. Tak samo jak pan, łaził z kosą, cepem i innymi narzędziami do bogaczy za pracą. Matka i ja też. Ja dopiero w czasie wojny zaczęłam chodzić do okopywania i kopania ziemniaków i do odbierania pokosów za ojcem. Tak harowałam bogaczom za marne grosze może przez pięć lat. Riksze z gnojem też nie raz ciągnęłam, lub popychałam. I często o głodzie. W tym upodleniu życiowym nie krzepiłam się modlitwą, ani słowami księdza z ambony. Bo jak, gdy czasem najpobożniejszy bogacz nawet tych pięćdziesięciu groszy za dzień nie wypłacił? Już wtedy wraz z ojcem buntowałam się przeciwko podłemu ustrojowi świata. Zaledwie pięć oddziałów ukończyłam. Pragnęłam się uczyć, ojciec starał się o to z całych sił, ale nie dało się. Dopiero po wojnie, gdy przyjechaliśmy na Śląsk, gdy ojciec otrzymał pracę — uczęszczałam na kurs dokształcający dla dorosłych. Egzamin zdałam dobrze, lecz zaraz nie poszłam do szkoły, bo nie miałam nawet odzieży i pieniędzy na książki. Jednak nie próżnowałam. Wstąpiłam do ZMP, pracowałam tam w miarę sił i czytałam książki i pisma. Przeczytałam już przeszło pół tysiąca książek. Pisma różne: „Walkę Młodych", „Wici", „Chłopską Drogę", „Trybunę Robotniczą", „Trybunę Wolności", „Chłopów", „Zielony Sztandar", później „Pokolenie", „Wieś", „Odrodzenie", „Kuźnicę", „Dziennik Literacki", „Przekrój" i inne.

— Hmm, hmm... — kręcę niedowierzająco głową. — A może to taka automatyczna „pożeraczka" książek, jak owa Kazia, córka sołtysa z Małego Rudna, o której pisał Józef Bieniek — myślę sobie i zabieram się do krótkiego przeegzaminowania.

— Co np. pani sądzi o „Ojczyźnie" Wandy Wasilewskiej? — pytam.

— Prawdziwa to i wartościowa książka o fornalskim żywocie. Pogłębiła ona we mnie bunt przeciw gnębicielom za ten brak chłopskiej ojczyzny.

— „Chłopi" Reymonta?

— Ciekawa i po mistrzowsku napisana powieść. Czytałam ją parę razy z największym zainteresowaniem. Ale społecznie zakłamana. Do autora czuję duży żal za wyidealizowanie kułaka - Boryny, do tego znów wstręt i nienawiść.

Słuchaczka ta ma 22 lat. Po ukończeniu Szkoły Pracy Społecznej pragnęła by pójść na wyższe studia, by — jak mówi — „zostać społecznym inżynierem niwelującym pagórki między wsią a miastem"

Tak na „chybił - trafił" porozmawiałem z paroma słuchaczami, streszczając w opisie ich wypowiedzi. Gdyby porozmawiać ze wszystkimi — toż samo byśmy się dowiedzieli. Np. ojciec Handulika Józefa z pszczyńskiego powiatu przez 6 lat był bezrobotnym. Łaził wtedy z żoną i dziećmi po lesie za jagodami i grzybami, które nosił do miasta. Wiadomo, że w takich warunkach syn mimo największych chęci i zdolności do nauki, nie mógł się kształcić. Ukończył zaledwie szkołę powszechną. Obecnie ma pracę i kształci się. Podwójny awans.

Ojciec Lewickiego Jana z tarnopolszczyzny był wielokrotnie potępiany z ambony przez księdza Bireckiego za polityczną działalność. Policja też węszyła za nim, był bowiem członkiem podziemnej KPP. Syn w Centrali Produktów Naftowych, następnie w transporcie samochodowym, jako pomocnik szofera, potem jako szofer. Później zakład pracy wysłał go na kurs technologii i towaroznawstwa do Warszawy. Przy egzaminie otrzymał drugą nagrodę. Obecnie pracuje jako kontroler stacyj benzynowych w Katowicach. Oprócz pracy i nauki szkolnej, jest sekretarzem podstawowej organizacji PZPR przy zakładzie pracy, wice-przewodniczącym współzawodnictwa pracy, członkiem Zarządu ZMP, członkiem Zarządu Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. Po ukończeniu Państwowej Szkoły Pracy Społecznej ma zamiar pójść na politechnikę.

Z którym tylko porozmawiać — zawsze słyszy się te same historie: o bezrobotnym ojcu, o pracy u bogaczy i we dworze za parę groszy, o tułaczce za pracą i chlebem, o potępianiu przez kler, o aresztowaniach policyjnych... A po wojnie o dopełnianiu szkoły powszechnej, o zdobywaniu małej natury, o pracy zawodowej i społecznej. To właśnie skierowało ich nie gdzieindziej, a tylko do szkoły Pracy Społecznej. Dlatego też trzeba przyznać, że są „niezwykłymi" słuchaczami — jak powiedział o uczniach szkoły Min. Skrzeszewski.

JÓZEF POGAN

„PAN TADEUSZ" W KAŻDYM POLSKIM DOMU

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej
KSIĄŻKA I WIEDZA
Ukaże się w marcu 1950 roku wspaniale wydane arcydzieło literatury polskiej
ADAMA MICKIEWICZA
PAN TADEUSZ
w opracowaniu graficznym
TADEUSZA GRONOWSKIEGO

406 stron druku w formacie 24×33 cm - 12 dziesięciobarwnych plansz w formacie 48×33 cm - 290 rysunków barwnych w tekście

Papier bezdrzewny - Druk offsetowy - Oprawa całopłócienna, wielobarwna obwoluta

Aby umożliwić jaknajszerszym kręgom czytelników nabycie tego wyjątkowego wydawnictwa
Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza" ogłasza
PRZEDPŁATĘ
która trwać będzie do 31 marca 1950 r.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką pocztową wynosi w przedpłacie zł 890 — płatnych jednorazowo lub w trzech ratach wpłacanych w terminach dowolnych do dnia 31 marca 1950 r. Cena zł 890 — za egzemplarz jest ceną tylko dla subskrybentów, którzy wpłacą pełną należność do dnia 31.3.1950 r. Cena dzieła w sprzedaży będzie znacznie wyższa. Wysyłka zapłaconych w przedpłacie egzemplarzy rozpocznie się 1 kwietnia 1950 r. w kolejności zgłoszeń. Nakład ukaże się w pięciu partiach, z których pierwsze dwie przeznaczone będą wyłącznie dla odbiorców w przedpłacie. Do czasu dostarczenia wszystkich zamówionych w przedpłacie egzemplarzy książka nie będzie w sprzedaży.

Zgłoszenia na przedpłatę należy kierować do Sp. Wyd. „Książka i Wiedza" Warszawa ul. Świętokrzyska 13. Konto czekowe w P. K. O. ... 1 13629

JULIAN GAŁAJ

rys. S. GIEROWSKI

„NA WSPÓLNEJ ŁĄCE"

(FRAGMENT) *)

Drogą wijącą się kręto wśród pól i prowadzącą na reczyckie łąki, szła gromada kosiarzy. Znajdowali się oni na całej długości drogi. Jedni dochodzili już do łąk, inni opuszczali dopiero wioskę. Na czele wszystkich szedł Stacho z Józefem Glinkiem. Nieśli kosy na ramieniu, a na plecach zwisało u każdego zawiniątko z jedzeniem. Daleka była droga na łąki i kosiarzom nie opłacało sie wracać na obiad do domu. Józef Glinek niósł również młotek i babkę do klepania kos. Wybrali się chłopaki na cały dzień i zaopatrzyli się we wszystko, co im było potrzebne.

Chłopakom towarzyszyli zainteresowani gospodarze Kierzela, Owczarek i inni... Szli, oczywiście z kosami. Nie było w Reczycach chłopa ani chłopaka, który by nie potrafił władać kosą. Ginęła już co prawda tradycja dobrych kosiarzy, ale swego czasu najlepsi kosiarze byli otoczeni czcią i szacunkiem. Dobry kosiarz nosił głowę wysoko i wysoko się cenił. Lichy kosiarz był celem kpin i szyderstw. Teraz, kiedy na łąkach reczyckich pokazały się już kosynierki, kiedy maszyny zaczynały wypierać ręce, mniejszą już wartość miała sława kosiarza. Jednak jeszcze dzisiaj chłopaki, którzy lepiej kosili, patrzeli z pewną wyższością na swoich kolegów.

O dwieście kroków za chłopakami szedł Lebioda Paweł, dalej Kończak, wróg jego — Olek Wacyński, Jaszota Bartek i inni... Chłopaki wszczęli rozmowę o starym Lebiodzie. Była kwestia, czy pozwoli ciąć łąkę u siebie.

— Ja już do twojego starego nie pójdę — mówił Glinek Józef do Stacha. — Po co ma mi odgrażać jak przy siewach.

Stachowi nie było przyjemnie słuchać nieprzychylnych słów o ojcu, ale mniej go to teraz obchodziło. Irka nareszcie zgodziła się pracować w spółdzielni!

Było to dla Stacha najważniejsze. Zgodziła się pracować! Co go w takiej chwili obchodził pogniewany ojciec? Irka pracuje w spółdzielni, Reczyce krok za krokiem jednają się i pracują coraz zgodniej. Co mógł go teraz obchodzić ojciec? On mu winien, że musi iść sam ciąć łąkę? On mu winien, że dawał się ponosić złości i głupiej ambicji?

Doszli wreszcie na miejsce. Tu stanęli. Kierzela z Owczarkiem zaczęli szukać znaków na miedzy, która dzieliła obydwie ich działki. Chłopaki rozbierali się, składali na łące przyniesione rzeczy i tobołki z jedzeniem i chwytali za kosy.

Nagle wybuchła sprzeczka między Kierzelą i Owczarkiem.

— Tutaj był kamień — dowodził Kierzela wskazując na jakąś kępę.

— Nie, tutaj — macał Owczarek nogą.

Stacho patrzał na obydwu reczycaków milcząc. Stanął on z kosą gotów do przodowania. Było to już przyjęte zwyczajowo, gdyż Stacha uważano za najlepszego kosiarza we wsi. Za nim ustawiła się reszta chłopaków. Gdy sprzeczka się jednak przeciągala, Stacho zapytał:

— To co wy, chcecie oddzielać swoje działki?

— Ba! To jak? — odpowiedzieli pytaniem jednocześnie obaj sąsiady.

— O, cholera! — zaklął Glinek. — Dwie godziny miną, zanim wytyczyta miedzę.

— No, to jak? — po raz drugi powtórzyli obaj sąsiady.

— Ciąć, jak idzie — zaproponował Stacho spokojnie.

— Ma się rozumieć, że jak idzie— poparli Stacha chłopaki zgodnie z wczorajszą umową.

Owczarek zaczął kręcić głową. — Popatrzał na wszystkich, po czym jeszcze raz ruszył przecząco głową.

— Ja się na to nigdy nie zgodzę — powiedział twardym, zdecydowanym głosem.

Kierzela inaczej się zachował. Spuścił głowę i myślał. Potem spojrzał na łąki, na ich bezkresną przestrzeń i wyrzucił ze siebie jakby przez siłę:

— Ciąć, to ciąć! Tnijmy!

Owczarek zachmurzył się. Znów macał nogą i wetknął w ziemię przyniesiony ze sobą długi kij. Stacho patrzał na niego coraz zimniejszym wzrokiem. Uczuł nagłą chęć uderzyć wpychającego kij Owczarka w wystawiony tyłek. Była to tak nagła i mocna chęć, że aż cisnął kosisko. Lecz uwagę jego pochłonęły nowe wypadki.

Wokół młodych zbierało się coraz więcej reczycaków. Zatrzymywał się przy nich prawie każdy z idących. Tylko Lebioda Paweł przeszedł nie spojrzawszy nawet na zgromadzonych. Tuż za nim przejechał na kosynierce, zaprzężonej we trzy konie, Sełek z parobkiem Lipką. W odległości stu metrów jechał Wronek, a gdzieś pod Reczycami widać było prowadzącego kosynierkę Leśniewskiego, a może Nieculkę.

Zebrani gapili się na Owczarka i Kierzelę czekając rozstrzygnięcia ich sporu. W tej chwili nadbiegł zdyszany Krówka z Niedręgą. Obaj spoglądali na wszystko z niekłamanym zdumieniem. Stacho odczuwał przez chwilę wyrzuty sumienia, iż zrobił przyjaciołom niespodziankę, lecz nagle doleciał go głos Owczarka rozgniewany i nienawistny:

— Wielko mi, psiakrew, łaska. U mnie trowa jek bór, a u innych co? Wygnioła. I jak tu potem znaleźć swoje? Jeszcze na razie nie jesteśmy w kołchozie, ino każdy siedzi na ojcowiznach.

Tu wtrącił się Jasnota Bartek. Zawsze był on sprzymierzeńcem Stacha Lebiody, ale siewy wiosenne jeszcze bardziej przywiązały go do chłopaka. Widział teraz, że Stacho stoi markotny i niepewny i to dodało mu odwagi.

— Te Owczarek! — powiedział ostro — jak ci chłopaki zasiały pole na wiosnę, to było dobrze, tak? A teraz ci się coś przekręciło we łbie.

— Na wiosnę nie brały się do miedzaków. Szanowały granice. A teraz co? — Owczarek uniósł się. Zaczął tupać nogą i wskazywać miejsce, gdzie przedtem wetknął kij. — Tu szukał miedzy mój ojciec i moje dziady, tu i jo bede szukoł, dopóki bede żeł. Zaro godały ludzie, ześ komunista! — wygroził pięścią Stachowi. — Całym Reczycom wstyd przynosisz! Do kościoła nie chodzisz, w Boga przestałeś wierzyć! Z ojcem się kłócisz! Ty draniu! — Owczarek zapienił się prawie do nieprzytomności.

Krzyk Owczarka poniósł się widocznie na pola i łąki, gdyż i stary Lebioda, i Sałek i parobek jego i jeszcze kilku chłopów z sąsiednich wiosek przystanęli obróceni twarzami w stronę gromady reczyckich chłopów. A tymczasem oni krzyczeli coraz zapalczywiej.

Józef Glinek podniósł kosę do góry i zamierzył się w Owczarka.

— Milcz głupcze, bo rąbnę!

Owczarek spojrzał dokoła. Chciał coś powiedzieć, gdy do Józefa doskoczył Jasiek Kończak.

— Przestań — krzyknął — i nie przyczepiaj się do porządnych ludzi. Z kolei do Kończaka przyskoczył wróg jego, Olek Wacyński. Siedząc po sąsiedzku nienawidzili się obydwaj i Wacyński pilnował tylko okazji by się odegrać na sąsiedzie. Teraz nadarzyła się okazja. Przyskoczył do Kończaka i pchnął go mocno. Kończak zatoczył się, lecz odzyskawszy równowagę machnął kosiakiem na odlew. Kosisko jednak ani drgnęło. To Krówka trzymał je mocno dłonią tuż przy kosie.

— Co wy, chłopcy, powariowaliśta? — pytał.

Szarpnął kosę Kończaka i wydarł mu. Trzymając ją w ręku mówił:

— Dawniej kosy, służyły do wojowania z panami. Teraz widzę, chłopy chcą z chłopami wojować. I to kto? Bieda, sama bieda. Bo, proszę — Krówka wskazał na przyglądających się z daleka Sałka i Wronka — pasibrzuchy patrzą i śmieją się z nas. Czy to ładnie?

Potem zwracając się do Stacha, Krówka pytał dalej:

— Coś ty narobił, Stachu?

Stacho zatrząsł się cały.

— Niech to wszystko szlag trafi!

Lecz już drugi sąsiad Owczarka — Lipczyk, ładny, rezolutny gospodarz, trącił Stacha w ramię i wskazał na swoją łąkę i na Owczarką.

— Tnijta u mnie, jak on nie chce.

Stacho opanował się. Zwracał się do chłopaków, tak jakby nikogo więcej nie było, i rzekł nad podziw spokojnym głosem:

— Będziemy ciąć, jak mówiliśmy. Owczarka miniemy. A teraz zwrócił się do reszty — kto nie chce naszej pomocy, niech oddziela swoje działki. Do nich my nie pójdziemy.

Chłopi popatrzeli na siebie. Ten i ów ruszył ramionami. Zaczęli się pomału rozchodzić. Krówka patrzał na Niedręgę z baranim wyrazem twarzy. Nic nie rozumiał. Stacho ujął kosę jak do cięcia, pochylił się i zaczął zwolna, systematycznie kosić łąkę Kierzeli. Pokos brał duży równy. Trawę wykaszał na jednym poziomie, nie zostawiając żadnych „baranów", czyli nierówności. Za Stachem ruszył Glinek Józef, za nim Wacek Koleda. Reszta chłopaków ominęła działkę Owczarka i zaczęła ciać łąkę Lipczyka. Owczarek patrzał na to wszystko jak martwy i nierychło ocknął się z zadumy.

Wkrótce na łąkach reczyckich widniał długi wąż kosiarzy, poruszających się pomału, lecz stale sunący naprzód. Z daleka obserwował koszących Sałek, który wijał się na łące ze swoją kosynierką. Na twarzy jego zjawił się zjadliwy, nienawistny uśmiech. Zdusił go prędko, by nie zauważył go parobek, Józef Lipka.

Słońce wtłoczyło się już dość wysoko i patrzyło nielitościwie. Na zachodzie, tam, gdzie niebo stykało się z ziemią, pokazały się małe czarne chmurki, niby różki olbrzymiego żuka, wysłane na zwiady. Za różkami ukazała się część pyska — czarna sklębiona chmura. Sałek patrzał na nią dłuższą chwilę.

— Kaput z pogodą — wyszeptał do siebie. — I to na długo.

Spojrzał znowu na koszących reczyckich chłopaków i szarpnął gniewnie lejcami. Konie stuliły uszy pochrapując lekliwie. Sałek miał silną rękę, której nikt nie lekceważył, a przede wszystkim konie.

Julian Gałaj

*) Gałaj — W rodzinie Lebiodów.

REPERTUAR SCEN WIEJSKICH

W N-rze 3 „Wsi" w artykule pt.: „Obrachunki teatralne" Jan Łazarz omówił dość obszernie sprawę teatru amatorskiego na wsi, jak np. różnorakie przyczyny wadliwości wystawionych sztuk, zły wybór repertuaru, ujemne skutki tego w oddziaływaniu na nieuświadomioną ludność wiejską i podał kilka projektów dla uzdrowienia istniejącego stanu rzeczy. Uważam, iż Jan Łazarz ma zupełną rację i bynajmniej nię dla polemiki z nim zabieram głos, a tylko dla dodania od siebie kilku uwag w tej ważnej sprawie na podstawie własnych spostrzeżeń i obserwacji z życia kulturalnego na wsi.

Jan Łazarz słusznie twierdzi, że „do najważniejszych praktycznych zasad kierownictwa zespołów artystycznych, na wsi należy wprowadzenie nowego repertuaru", bo — „wieś gra stare utwory wskutek inercji" — „dwutygodniowe szkolenie aktywistów i kierowników zespołów świetlicowych, a miesięczne powiatowych instruktorów jest krótkoterminowe", choć jak twierdzi Łazarz — „nie wolno na razie od tego szkolenia odstąpić". Oczywiście racja, bo dłuższe przeszkalanie mogłoby z braku ludzi do pracy spowodować zastój w tej dziedzinie. Ważne jest jednak pytanie, kogo należy szkolić? Miesięczne szkolenie pomoże wiele uświadomionemu społecznie, kulturalnie i politycznie. Ale słabemu i roczny kurs niewiele da. Dlatego też w wyborze kandydatów na kurs należy robić dokładną selekcję.

Jak powszechnie wiadomo, dotychczasowi kierownicy zespołów artystycznych i instruktorzy powiatowi w większości nie odpowiadają wymaganiom, jeśli chodzi o wybór repertuaru. I często się zdarza, że kierownik zespołu teatralnego zwraca się o pomoc w wyborze sztuki do „uczonych" we wsi ludzi, czyli najczęściej do nauczycieli. Ci znów najczęściej z braku wyrobienia krytycznego, a często z powodu swej apolityczności, wybierają to, co „ładne, ruchliwe i zabawne" (bo na tym się znają dobrze), nie zastanawiając się wcale nad ideologiczną treścią danej sztuki. Stąd właśnie pojawia się na scenach wiejskich „Babska polityka", „Poseł czy kominiarz", „Chrapanie z rozkazu", „Werbel domowy", „Baśka", „Urlopnik", „Żydowskie swaty" i w rezultacie jest owa „Beczka śmiechu". Ale żeby tylko sama „beczka śmiechu", byłoby jeszcze pół biedy. Ta „beczka śmiechu" spacza ideologicznie ludność wsi. Jest ona „ochłapem" dla kułaków, kapitalistów, (sklepikarze, restauratorzy itp.) Pozornie niewinna „beczka śmiechu" jest beczką politycznej trucizny.

Że nauczyciele częstokroć nie znają się na odpowiednim wyborze repertuaru, podam na to parę przykładów:

W styczniu br. — zwiedziłem kilka świetlic wiejskich w powiecie cieszyńskim, województwa śląskiego. Kierownikiem jednej świetlicy jest kierownik szkoły; drugiej znów świetlicy członkiem zarządu jest kierownik szkoły. Obydwaj bardzo pracowici społecznie, najlepszej woli w stosunku do obecnej rzeczywistości — wybrali i wyreżyserowali w ostatnim czasie „Małżeństwo Loli" i „Poseł czy kominiarz", ufni w siebie, iż tym przysłużyli się kulturalnej sprawie. Na mój uśmiech zawstydzili się nieco pytając, czy to nie są dobre ideologicznie sztuki"?

W innej szkole tejże gminy zainteresowałem się dziatwą szkolną z VII-mej klasy. Otóż na moją propozycję kierownik wraz z wychowawcą klasy zgodzili się na dyskusję z dziećmi nad przeczytanym jakimbądź krótkim utworem. Wybrali „Przed sądem" Marii Konopnickiej. Po przeczytaniu dzieci nic nie umiały powiedzieć o tym wierszu i jedno za drugim powtarzało: „Sędzia był to dobry człowiek"... „Litościwy dla biednych"... „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę"... itd. Ale gdy pchnąłem dzieci na właściwy tor myślenia — okazało się, że są ruchliwe i zdolne do wysnuwania odpowiednich wniosków. Ożywili się, rozgadali z sensem. Padła nawet i taka uwaga, że „gdyby obecny pisarz tak samo „Przed sądem" napisał, byłby niepostępowy, bo obecnie nie rządzą „litościwi panowie, ani dzieci nie

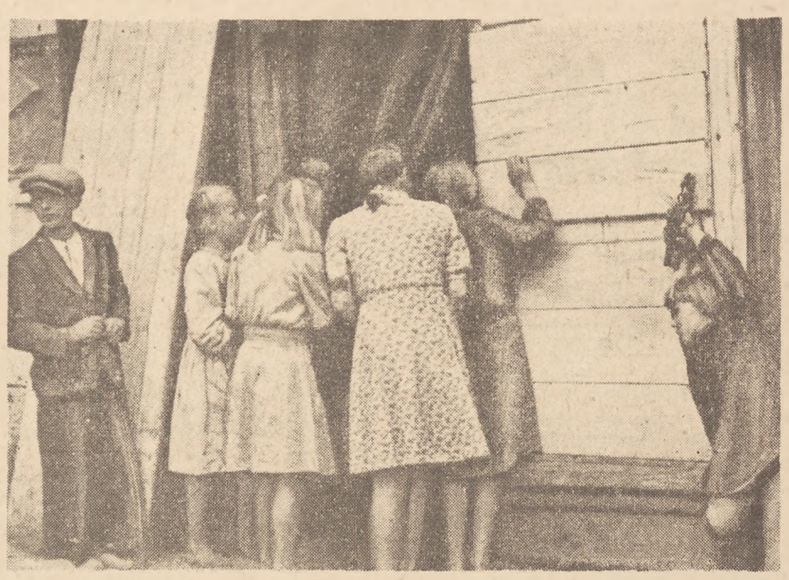

skazujemy na to, by zamiast uczyć się w szkole — znalazły się przed sądem". Taka dyskusja od razu naprowadziła dzieci na właściwą drogę myślenia, iż literatura powinna nadążać za życiem, ściślej: za jego przemianami.

Jeszcze inny przykład: na moją uwagę zwróconą pewnemu wójtowi, który jednocześnie jest sekretarzem Gminnego Komitetu PZPR — „dlaczego pozwolił jednemu z członków partii grać rolę w szlachecko-klerykalnej sztuce „Żywcem zamurowana" — wójt odpowiedział bez żenady, że „to nie moja sprawa.

„Pomieszał groch z kapustą" — powie niejeden. Pisząc o sprawach teatru na wsi, zahaczyłem o nauczycieli i wójtów, a nawet o dyskusję dziatwy szkolnej nad wierszem Konopnickiej. Ale to „pomieszanie" uważam za konieczne dla wykazania, iż „zespoły artystyczne na wsi nie są pozostawione same sobie" — jak twierdzi Jan Łazarz. — Bo jeśli nie pomoże im instruktor powiatowy, szukają pomocy gdzie indziej i znajdują ją w szkodliwej akcji niedouków, tradycjonalistów lub wrogów ideologicznych.

Jan Łazarz wspomniał też, iż „uchwały Głównej Komisji do Spraw Kultury nie są jeszcze w pełni realizowane". Chodzi więc o to, w jaki np. sposób można by te uchwały najszybciej zrealizować. Instruktorzy powiatowi poszczególnych organizacji na ogół nie wywiązują się z swych obowiązków i nigdy się należycie nie wywiążą, choćby z tej prostej przyczyny, że każdy z nich, (każdy z innej organizacji) „sobie rzepkę skrobie". Potrzeba ścisłej współpracy poszczególnych organizacji w dziedzinie kulturalnej. Czy więc nie przydały by się Podkomisje do Spraw Kultury na szczeblu wojewódzkim, a nawet powiatowym? W skład Podkomisji mogli by wchodzić kierownicy oświatowo-kulturalni poszczególnych organizacji i partii politycznych, przedstawiciele Kuratorium czy Inspektoratu szkolnego, a nawet, jeśli, by to było możliwe terenowo — teatralni kierownicy literaccy, krytycy teatralni, uspołecznieni literaci (oczywiście nie tacy, co to tylko umieją dobrze obrabiać „Serce ziemi" pod „mocną kalenicą")). Gdyby takie Podkomisje powstały, wtedy — oprócz różnorodnej pomocy kulturalnej dla ludności — i repertuar scen wiejskich oczyściłby się z wszelkiego paskudztwa.

J. P.

KOMITETY „ZGODY NARODOWEJ"

Pewien działacz oświatowy, cieszący się w terenie nie małym uznaniem, i pozostający w stałej współpracy z Kuratorium nadesłał nam sprawozdanie (w formie reportażu) z narady w Iłży Komitetów Rodzicielskich szkół podstawowych, z całego powiatu. Zjechało się 300 delegatów, w olbrzymiej większości ze wsi, choć nie wiadomo czy większość z nich stanowili chłopi, czy też nauczyciele i inni przedstawiciele inteligencji szkolnej (pracownicy gminy, spółdzielni itp.).

Rozumiemy, że na takiej konferencji poczesne miejsce musiały zająć sprawozdania, przedstawiające osiągnięcia każdego komitetu. Ale jak je należało stawiać? Dlaczego nie przeprowadzono charakterystyki każdej gromady? Ilość ludności (z podziałem na wiek), rozklasowanie gospodarcze, zapotrzebowanie na szkołę w granicach szkoły podstawowej i naukę wyższą.

Jak się przedstawia klasowo rzeczywiste wykorzystywanie szkoły i dalszych studiów? Jakie czynniki przeszkadzają w nauce młodzieży w niższych klasach, jakie w pełnym ukończeniu wyższych, jakie w dostaniu się do szkół średnich?

Jakich form świadczeń dla usunięcia tych przeszkód można żądać od rodziców? Są tu ważne potrzeby, jak pomoc dla dzieci małorolnych sierot, czy tych na „służbie", jak pomoc (stypendialna) w wysłaniu do gimnazjów najzdolniejszych uczniów na koszt gromady.

Dlaczego dopiero w stosunku do rzeczywistych potrzeb nie referowano rejestru osiągnięć? Bez tego zestawienia każdy delegat mógł coś wyskrobać na konto swojego komitetu, przedstawianego z reguły jako „związek wszystkich świętych". A to było zagadnienie podstawowe! Jaki jest skład klasowy komitetu, jaka jego działalność agitacyjna klasowo? Jaka jego świadomość interesów oświatowych młodzieży drobnorolnych i średniaków? Jakie plany i zadania w ich spełnianiu? Jakie metody społecznego działania zastosowano aby je zrealizować? Jakie błędy popełniano? Z jakimi formami walki klasowej spotkano się na tym odcinku? Co osiągnięto? Co tu jest wzorem dla upowszechnienia na inne komitety?

Sprawozdanie, jakie nam nadesłano — urąga tym postulatom. Na domiar złego Korespondent poddał się urokowi konferencji, która przeszła pod znakiem „W Błaźnicach jest dobrze, w Chwałowicach jeszcze lepiej!"

Oto (w skrócie) obraz tej konferencji i nieustannego zacierania rąk przez korespondenta.

„Dochodzą do głosu Komitety Rodzicielskie szkół wiejskich z gm. Błażiny i Krzyżanowice. W Błażinach jest dobrze, w Pakosławiu jeszcze lepiej. Sprawozdanie składa ob. Sikorski Władysław, rolnik dwuhektarowy". Komitet Rodzicielski — mówi — doceniając ważność nauki i chcąc podnieść poziom szkoły wystąpił z akcją wśród rodziców, aby dzieci regularnie uczęszczały do szkoły i nie spóźniały się. Dziś u nas nie ma takich dzieci, co nie chodzą do szkoły.

a) Ponieważ są dzieci słabsze, które nie mogą nadążyć w nauce, Komitet Rodzicielski w porozumieniu z Kierownikiem Szkoły i rodzicami, posegregował dzieci w ten sposób, aby w grupie znalazły się dzieci słabsze i mocniejsze, żeby mogły razem odrabiać lekcje w domu, co dodatnio wpłynęło na poziom nauki w szkole. Potworzono w ten sposób zespoły samokształceniowe:

b) Komitet Rodzicielski wymógł na rodzicach, wytworzenie odpowiednich warunków odrabiania lekcji w domu (aby dzieci miały odpowiednie światło, miejsce i spokój).

c) Komitet Rodzicielski wszczął akcję zorganizowania świetlicy szkolnej, gdzie pod opieką Kom. Rodz. i nauczycielstwa dzieci będą odrabiać lekcje, prócz tego będzie zwracana baczna uwaga na: koleżeńskość, harmonijną współpracę i zachowanie się w grupie.

Przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego z Jasieńca iłżeckiego stwierdza m. in.: na zebraniu, przed rozpoczęciem roku szkolnego, komitet wraz z ogółem rodziców zamanifestował swój obywatelski stosunek do rozpoczęcia roku szkolnego przez podjęcie się wymycia korytarza, okien i sal szkolnych. Na dalszych zebraniach uchwalono opłatę po 50 zł. miesięcznie od dziecka na kupno radia i pomocy naukowych. Radio już jest w szkole.

Komitet Rodzicielski w Krzyżanowicach, w imieniu którego sprawozdanie złożył ob. Mizak J. też miał się czym poszczycić. M. in. zaprenumerowano dla dzieci szkolnych po 1 egzemplarzu Płomyka, Płomyczka, Iskierek, gazetkę ścienną Młody Obywatel, Radio i Świat, Gromadę i Materiały Świetlicowe. Komisyjnie zbadano stan materialny sierot i półsierot, aby przyjść im z pomocą. Komitet postanowił współpracować w urządzaniu uroczystości szkolnych, przedstawień i wycieczek, umożliwić dzieciom, które nie mają warunków w domu, odrabianie lekcji w szkole, dołożyć starań i przygotować trzecią izbę szkolną. Zakupić dla dzieci siatkówkę i piłkę do gier i zabaw.

Komitet w Jedlance Nowej, wsi biednej i małej, w której szkoła — jednoklasówka jest prowadzona przez dzielną młodą naucz. ob. Kołsut Janinę miał dużo do powiedzenia, a więc: „wspólnie z kier. szkoły Kom. Rodz. urządził akademię 1-go Maja, oraz zajął się wybieleniem szkoły i udekorowaniem jej. Wziął czynny udział w sprzedaży znaczków i nalepek w czasie „Tygodnia Książki i Prasy". W czasie dożynek 14 sierpnia br. odbyło się przedstawienie dzieci szkolnych. Komitet zakupił za zebrane 5.220 zł. książki do

biblioteki szkolnej. Wspólnie z kier. szkoły przygotował uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego oraz akademię ku czci przyjaźni polsko-radzieckiej. Od 3 kwietnia do chwili obecnej odbyło się 8 zebrań Komitetu. Na zebraniach załatwiono sprawę frekwencji uczniów, utworzenie warunków dogodniejszych do odrabiania lekcji, podniesienie stanu czytelnictwa, prenumeratę czasopism dziecięcych i in."

Podobnie sprawy przedstawiają się w Jedlance Starej, w Prendocinie i Maziarzu. Nie pracują Komitety Rodzicielskie w Dubrawie i Płudnicy.

Po sprawozdaniach Przewodniczący obrad otworzył dyskusję. Mimo, że zebranie trwało już przeszło dwie godziny dyskutantów było moc.

Jedni byli dumni ze swej pracy, drudzy przeżuwali pigułki wstydu, że zrobili tak mało, choć im nikt na razie ani słowa wyrzutu nie powiedział.

✦

Uchwalono, zamanifestowano, i... „nikt im na razie ani słowa wyrzutu nie powiedział".

Czynimy to na tym miejscu. Dość dobroczynnych Komitetów, dość manifestacji i gadania bez świadomości, że Komitety Rodzicielskie winny być przekute na oręż klasowej walki małorolnych w sojuszu ze średniakami. I z tej pozycji trzeba rejestrować potrzeby i planować, a walcząc realizować i kontrolować!

JAN KRYZA

SPROSTOWANIE

W nr. 4 na str. 1 „Wsi" wiersz Andrzeja Brauna „Mój trud codzienny" został wskutek niedopatrzenia technicznego zniekształcony przez przestawienie zwrotek.

Redakcja

Bilans „Łomżycy"

Jadąc z Warszawy do Łomży studiowałem uzyskane w CRS sprawozdanie z działalności spółdzielni „Łomżyca" w Kupiskach. Kiedy w sierpniu 1945 roku spółdzielnia ta uruchamiała pierwszą swoją placówkę, powiat łomżyński w województwie białostockim był jednym z najbardziej niespokojnych powiatów w całej Rzeczypospolitej. Mrowie band tzw. „Narodowych" Sił Zbrojnych grasowało po całym terenie, napadając głównie na spółdzielnie i mordując przede wszystkim działaczy Samopomocy Chłopskiej. Hersztowie tych band „Zbych", „Dziadek", „Bąk", „Bury", „gen. Tubas" (do którego był skierowany szpieg Doboszyński), „Łoś", „Grab", „Kłoś", „Huzar" i „Szalony Staś" na odprawie w lutym 1947 r. chlubili się, że zamordowali 49 działaczy Samopomocy Chłopskiej obrabowali 38 spółdzielni gminnych, pobili ciężko 452 członków tych spółdzielni.

Sprawozdanie „Łomżycy" podaje, że była ona 8 razy obrabowana, że przy jednym z rabunków został zamordowany sklepowy, że mimo to, a może właśnie dlatego zważywszy na przysłowiowy upór Łomżyniaków, najupartszych przedstawicieli znanych z uporu Starych Mazurów — spółdzielnia rozwijała się coraz to w szybszym tempie. Początkowo zapisywały się do niej kobiety, mężczyzn bowiem bandy leśne biły i mordowały, urządzając tzw. pokazowe „trybunały paragrafów", czyli bastonady kijami.

„Łomżyca" jednak z uporem a planowo rozszerzała swoją działalność, o czym świadczą cyfry, posiadające większą wymowę aniżeli Demostenes.

Mówią one, że z 30 członków w 1945 roku już w 1946 było ich 810, w r. 1947 — 920, w 1948 r. — 1000, we wrześniu 1949 r. — 1310, a w listopadzie 2015 członków.

Odpowiednio rosły obroty, wynoszące w 1946 roku pół miliona zł miesięcznie, w 1947 roku — trzy miliony mies., w 1948 r. — czternaście i pół miliona zł mies., a w roku bieżącym przekroczyły już kwotę dwudziestu sześciu milionów złotych miesięcznie!

Zarazem zmniejszyły się koszty handlowe kształtując się następująco: w r. 1947 — 9,6 proc., w r. 1948 — 7,4 proc., w 1949 r. — 5,6 proc. co jest tym bardziej godne podkreślenia zważywszy, że w 1946 r. pracowało 10 pracowników, w 1947 r. — 18, w 1948 r. 22, a w 1949 roku aż 63 pracowników!

Ile korzyści przynosi spółdzielnia członkom, świadczą czyste nadwyżki, które w 1946 r. wynosiły 56 tys. zł, w 1947 r. — 589 tys. zł, w 1948 r. — 1.445.000 zł, a w 1949 r. przy końcu października aż cztery miliony złotych!

L. Ł.

KORESPONDENCJE

MELDUNEK POKONGRESOWY

Wieś Stanisławów Dolny leży w gminie Kalwaria Zebrzydowska oook linii kolejowej Kraków — Zakopane. Ludności 1472, domów 243, około 300 rodzin. Ziemi posiada gromada ok. 700 ha, ziemia III, IV klasy, żadnych resztówek po dworach nie ma.

Na skutek fatalnego położenia terenowego, na które składa się górzystość terenu i poprzez środek wsi głęboko wcięty potok, wytworzyło się rozbicie wsi na stronę południową i północną (co w języku Stanisławian nazywa się „my i wy"). Strona południowa liczy 138 domów, północna 105. Rozbicie to wystąpiło jaskrawo, gdy w r. 1912 powstało zagadnienie wybudowania szkoły. Obydwie strony rzuciły się do budowy z tą myślą, że „tamta strona będzie posyłać dzieci do nas".

W rezultacie Stanisławowianie wybudowali wreszcie w 1926 roku dwie szkoły — na obu krańcach wsi, ale uczyć nie było gdzie, powstały klitki po 5x4,5 m drewniane z drzewa surowego, tak, że zagościł grzyb. Był to jeden jedyny czyn społeczno-kulturalny gromady, dość licznej i nie tak bardzo biednej, gdyż znaczny procent trudzi się stolarstwem, szewstwem i pracami dorywczymi przy budowach i pracach rządowych w Andrychowie.

Przywędrowałem w swej tułaczce nauczycielskiej do tej wsi w 45 roku. Zastałem te 2 rudery z 3 nauczycielkami, które realizowały 4 klasy podstawowe.

Po wstępnej obserwacji i namyśle postanowiłem zorganizować pełną siedmioklasową szkołę i postawić nowy budynek, gdyż w starej ruderze ze względu na grzyb, próchno i ciasnotę długo pracować niepodobna. Ze 160 dzieci w 45 roku i 3 nauczycielek podniósł się stan w 46 r. na 315 dzieci i 6 nauczycieli.

Ale o budowie szkoły nikt na wsi nie chciał mówić. Stworzyliśmy w 6 osób Komitet agitacyjny. Urabianie wsi trwało 2 lata. Na zebraniach panowało grobowe milczenie, albo wybuchały urągania i drwiny.

Nadszedł grudzień 48 r., a my jeszcze tkwiliśmy prawie że u podstawy wyjściowej, choć pociechą była zmiana atmosfery na zebraniach. Ludzi przychodziło coraz więcej, coraz więcej małorolnych i ci słuchali z uwagą, wzbraniając innym drwin. Udało nam się wreszcie stworzyć Komitet Budowy Szkoły.

Zaczęliśmy jako Komitet urządzać zabawy i przedstawienia i wreszcie w sierpniu 1949 r. kupiła wieś pod nową szkołę 6000 m kw. w przepięknym miejscu, skąd widać Babią Górę i Ojców za Krakowem. Parę zbiórek masowych dały nam kamień pod budowę, ale mimo to jeszcze były powątpiewania.

Zbliżał się Kongres Zjednoczeniowy, a tu dawniej było PSL, potem SL. Koło Gospodyń Wiejskich, ZMP. Wykorzystaliśmy ten moment.

Czynem naszej wsi miało być wykopanie dołu na 30 ton wapna, kupno tych 30 ton i wylasowanie go w tym dole a po stronie północnej wykopanie 100 metrów sześć. kamienia na bitą drogę, której brak specjalnie daje się odczuwać stronie północnej.

Praca ruszyła pełnym tempem, gdyż do pracy przystąpiła większość biedniaków, ponieważ zrozumieli, że najpierw Komitet agitacyjny a potem Komitet Budowy, w

walce klasowej stanął zdecydowanie po ich stronie i ich interesy wyraża. Udział biedniaków w Czynie Kongresowym spowodował, że w ciągu 2 dni zebrano 150.000 zł., w 3 dni wykopano dół, a w 2 tygodnie wylasowano w nim wapno.

W planie mamy teraz 100 tysięcy cegły, a potem skok aby to, co w ciągu kilkudziesięciu lat nie zrobiono, osiągnąć w 3 lata przy świadomym klasowo działaniu małorolnych. Liczymy, że na przyszły rok budynek stanie pod dachem.

Rok 1949 zamknęliśmy dochodem miliona 200 tysięcy złotych.

Bartyzel Kazimierz

TEATRY OBJAZDOWE

W województwie warszawskim, nawet wielkie i gminne, położone gwiaździście wśród 20 innych, wsie nie widziały w ubiegłym roku przedstawienia teatralnego „Artosu", Sceny Ruchomej, czy zespołu Teatru Wojska Polskiego, ani żadnego innego zespołu zawodowego. Działalność tych ekip ograniczała się do kilkunastu największych miast powiatowych i takich ośrodków fabrycznych, jak Pruszków, czy Żyrardów, posiadających doskonałe powiązanie komunikacyjne z Warszawą. Informacjami w pismach rozpalono do zenitu — nadzieje uspołecznionych chłopów i uświadomioną, zorganizowaną, zetempowską młodzież wiejską. Przeczytał stary Bartos, że przyjedzie nowy „Artos". A nikt nie przyjechał przez cały rok, wywołując prawdziwe wzburzenie — w gminach i gromadach.

Trzeba było chociaż odwiedzić najdzielniejszych, przodujących chłopów w PGR-ach i tych zbratanych w spółdzielniach produkcyjnych,

Toteż trzeba poddać gruntownej analizie plany i marszruty teatrów objazdowych. Wyłuskać i uderzyć po łapach oportunistycznie nastrojonych biurokratów, którzy nie chcą zrozumieć i ocenić niezmiernie pożerającego umysły chłopstwa „głodu teatru". I nic dziwnego... Bo sami w Warszawie i w miastach wojewódzkich mają do dyspozycji wielką ilość teatrów, teatrzyków, kin, koncertów i innych uciech kulturalnych.

GRZEGORZ CIEPLIŃSKI

ZOBOWIĄZANIE

Ojciec mój był małorolnym, miał pięcioro dzieci i zaledwie 2 ha piaszczystej ziemi rzeszowskiej, nie mógł nas wyżywić i zwolnił mnie ze szkoły pomimo, że się nieźle uczyłem i dał mnie na służbę do bogaczów. Służyłem cztery lata, wydawałem swoją siłę prawie od 10 roku życia a w 13 roku przeżywałem ciężki okres strajków rewolucyjnych w naszej wsi i sąsiednich oraz całej naszej okolicy powiatu Nisko, woj. rzeszowskiego. Brałem udział w tym strajku, bośmy młode chłopaki szli w czwórki i śpiewali „O cześć Wam Panowie Magnaci za naszą niewolę", a po 16 roku chodziłem z ojcem na roboty gospodarskie. Wykonywałem różne prace do 1946 roku. Podczas okupacji byłem przy rodzicach, a w 1947 roku wyjechałem na Ziemie Odzyskane do wsi Sieraków pow. Sławno i osiedliłem się na gospodarstwie rolnym i gospodarzę jak mogę, choć mam żonę chorowitą.

W zeszłym jeszcze roku, w marcu wzywałem chłopów mało i średniorolnych do współzawodnictwa w hodowaniu macior i prosiąt. Jak widać nie poszły moje słowa na marne, bo kiedy ukazał się mój artykuł w „Rolniku Polskim" o wezwaniu i współzawodnictwie w chowie macior oraz prosiąt to zaszła duża zmiana w naszej okolicy. W naszej wsi mało kto do tego czasu chował maciory, a dziś nie ma prawie gospodarza, któryby nie chował.

W kontraktacji nieźle stoi nasza okolica, a ja postanowiłem w swoim planie dwuletnim wychować 130 sztuk prosiąt, od moich trzech macior, tzn. uzyskać to, żeby każda maciora wyprosiła się pięć razy w dwóch latach, i mam nadzieję, że wykonam moje postanowienie, które ukazało się w Rolniku Polskim, bo ludność zainteresowała się tym moim wezwaniem i miałem kilkanaście listów z różnych okolic w sprawie chowu prosiąt i macior, na które dawałem odpowiedzi listowne, a najważniejszą dam własnym wynikiem.

ŚNIEG FRANCISZEK

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red Nacz 812-71 Tel Redakcji 8 00 61 do 6 wewnętrzny 23 i 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISOW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5.
B-89916